ŚWIAT

1 zł

Nr. 51
23 GRUDNIA 1933 ROKU



W numerze:

„Zorganizowanym i przygotowanym do obrony przeciwlotniczo-gazowej nic grozić nie będzie" – Zapisujcie się na członków L.O.P.P.!

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, SZPITALNA 12
ROK XXVIII • NR. 51 • DNIA 23-go GRUDNIA 1933 ROKU

Dziwolągi współczesne

Chrystus... na baczność!

Dobrze jest człowiekowi móc przypomnieć sobie choćby raz na rok, że gdzieś daleko, na samem dnie potrójnej ciemności: w głębi wieków, w głębi pamięci i w głębi czarnej, betlejemskiej nocy, leży cierpliwie i nieporuszenie malutkie, ciepłe ciałko Jezusa-Dziecka. Różowy owoc boży w olbrzymiej pustce nocy, niby w kolebce z czarnego aksamitu, rozpiętej od krańca do krańca ziemi i zahaczonej o ćwieki gwiazd. Pod samem ciałkiem szeleści wiązka słomy, jak zgarnięte źdźbła rzewności człowieczej, okruchy ludzkiej dobroci, potrzebne do ogrzania, skąpe, ubogie — bezcenne.

Dobrze jest choćby raz na rok, choćby z tradycyjnego przyzwyczajenia, z dorocznej bezwładności nastroju, przystanąć w oszalałym pędzie do nikąd, wychynąć z gąszcza trosk, wydrzeć się z kolczastych drutów pytań bez odpowiedzi — i popatrzeć wgłąb pastuszej szopy, złotej od niewidzialnych świateł, uciszonej anielską fletnią, pachnącej ciepłemi oddechami zwierząt i kądzidłem królów. Spokojne, uważne, przejrzyste oczy Dziecka powiedzą zawsze to samo: „Znowu jestem. Czekam. Tak daleko odeszliście wszyscy, tak wysokoście zaszli. A jednakże nie dotarliście do mnie. To nic. Ja czekam. Wszyscy kiedyś do mnie wrócicie. Co roku przychodzę nowonarodzony, żeby pouczyć, że zawsze jeszcze można narodzić się nanowo".

Dobrze było móc mieć tę chwilę rozmowy. Wiedzieć, że jest Ktoś, kto nie zmieni się nigdy i nie strudzi czekaniem; kto sto razy zrozumie i raz jeszcze przebaczy.

Ale nie wszyscy ludzie będą mieli odtąd prawo do bożych narodzin, do corocznego oglądania wieczności, skroplonej w malutkie, dostępne, nieomal dotykalne ciałko dziecięce. Niektórym ludziom odbiorą tę radość ich właśni — uwielbiani — wodzowie. *Chrystus przebaczający nie jest im bowiem potrzebny.* „Dar przebaczania obcy jest temu pojęciu chrystjanizmu, jakiego wymagają dzisiejsze czasy" [1]). Więc przebudować Chrystusa! Niech stanie na baczność przed człowiekiem. Niech z nim razem uczci nowe bóstwo: *wzniesioną pięść*. „Krzyż przerobić na swastykę", „z ksiąg Nowego Testamentu wyrzucić materjalizm".

Tak — materjalizm. Odebrać wiązkę słomy i koronę z cierniowej gałęzi. Raz jeszcze rzucić kości o białą szatę bez szwu. Rzucić kości tysięcy ludzi, zagrać niemi na polach bitew. Nie składać już darów z myrry, kadzidła i złota. To materjalizm. Nowy Chrystus, przerobiony dla współczesnych Wotanów, rycerzy północy, żąda innych darów: żelaza, miedzi, niklu, ołowiu. Dla niego to sprowadzać trzeba co miesiąc od 100 do 300-tu miljonów kilogramów celulozy (P. A. T. 7/11). Dla niego fabrykować kule halger-ultra, biegnące 40 klm. na sekundę i okrutniejsze, niż wszystkie, które znał dotychczas świat.

[1]) Projekt reformy chrystjanizmu w Hitlerji, proponowany przez pastora Krausa.

(P. A. T. 15/12). Dla niego trzeba zawrzeć pakt z chciwością sąsiada i wprządz fabryki szwedzkie do służby nowego chrystjanizmu. Zlof Hansonn ofiaruje materjały wybuchowe, Avesta i Holmberg Fassbender — płyty pancerne, Stockholm — nitroglicerynę, Malmoe — samoloty wojenne, Husqvarna — łożyska do dział. Przemyt cichcem przez morze, przez obce, przepłacone porty i już prosto przed ołtarz nowego bóstwa. Młodzież całego kraju ćwiczy się w pokłonach kultu: „powstań — padnij", a potem najcelniejsi uczniowie - wyznawcy wezwani zostają na pokład statku szkolnego — krążownik Koeln — i tam słyszą z ust wodza-apostoła: „Zwróciliśmy się do świata z otwartą deklaracją pokojową..." (P. A. T. 12/12).

„Wojna rozwija najwznioślejsze instynkty", głosi testament nowych chrześcijan [2]). Człowiek powinien umierać na polu bitwy, nie w chacie na słomie; to gnuśność. Natomiast Bóg nie powinien rodzić się w chacie na słomie; to materjalizm.

*

Zima sypie białe listki śniegu na sąsiednie drogi Polski i Niemiec. Polska posłała swoim dzieciom mieszkającym w Rzeszy dwadzieścia pięć tysięcy opłatków — białe listy kultu dawnego Chrystusa. Na każdym widać obrazek promiennego Dziecka.

Może listy te odczytają nietylko dzieci polskie.

Stanisława Kuszelewska.

[2]) „Historja zdrajcy stanu", kapitana Röhma, ministra Rzeszy.

MOJA CHOINKA

Kiedy byłem jeszcze dzieckiem, moja choinka była moją choinką. Teraz się zmieniło.

Teraz choinka mojej córeczki jest moją choinką. Bo choinka i cały okres świąt Bożego Nar. to radość, to najczystsza, niczem nie zamącona radość. Taka radość może być udziałem jedynie tylko dzieci; to też choinka jest przedewszystkiem świętem dziecka. Uczestniczą w niej także i t. zw. dorośli, ale ich uśmiech to tylko refleks słonecznej wesołości dziecka.

Gdyby tego refleksu nie stało, napewno częstoby łzy wyręczały uśmiechy.

Te refleksy z biegiem lat stają się coraz słabsze. W tym kierunku skwapliwie pracuje niestrudzony czas. Całe szczęście że i on wraz z innemi wartościami uległ zdewaluowaniu, co odczuwam coraz wyraźniej. Dziś wydaje mi się, że rok, to bezmała tyle akurat co przedwojenny miesiąc. Nie martwię się tem, bo ta dewaluacja odmładza, a temsamem mniej oddala od dzieciństwa. Może właśnie dlatego wszystkie przeżycia mojej córeczki związane z choinką umiem przeżywać razem z nią.

Więc Boże Narodzenie. Dobrze, jeżeli za oknami cicho pada gęsty śnieg. Cały świat przybiera wygląd odświętny. Jest nieskazitelnie biało. Ale to od nas nie zależy, jak i wiele innych rzeczy. To też najczęściej bywa błoto.

Zato choinka musi być do samego sufitu, i to już, mniej więcej, od nas zależy; kwestja tylko, czy mniej czy więcej możemy zapłacić za drzewko. Najlepiej jeżeli choinka nie mieści się zgoła w pokoju, tak że trzeba kawałeczek uciąć od dołu. Tylko na miłość Boską nie dużo. Byle na szczycie mogła się jeszcze zmieścić świeczka. Bo choinka oświetlona musi być świeczkami. Broń Boże, elektrycznością — świeczki; żeby kopciły, żeby dookoła kapały, i żeby po zgaszeniu był swąd, taki cudny, zmieszany z zapachem żywicy, który do spółki z zapachem pierników i bakalji daje przerozkoszny świąteczny nastrój.

Chciałoby się wtedy czas zamknąć na kłódkę, aby nie mógł już uciekać. Ale to znowu nie jest w naszej mocy i szelma ucieka: Sylwester, Nowy Rok, Trzech Króli. Choinka zaczyna opadać i powoli zaściela, czy też zaśmieca, jak wolą inni, podłogę dookoła igłami. Już nie da jej się obronić przed detronizacją; nic nie pmagają protesty, i biedactwo idzie do śmietnika. Jakżeż miło jest potem popatrzeć wysoko na sufit, na ciemno zakopconą plamę (ślad świeczki, właśnie tej z samego szczytu) i nadół, na okapaną dookoła podłogę i pomyśleć z rozrzewnieniem: „tu stała choinka, źródło wielkiej radości, na którą teraz trzeba czekać do następnego roku".



Tymczasem wszystko wraca do dawnego trybu. Rozpoczyna się staranne oddrapywanie zakapanej podłogi i mozolne oczyszczanie okopconego sufitu. Patrząc na to, snuję rozmyślania:

— Na przyszły rok trzeba skasować świeczki. Przecież oświetlenie choinki elektrycznością jest pod każdym względem praktyczniejsze.

— No tak, to prawda, niema dwóch zdań. Ale elektryczność, to już nie będzie to!

— Co nie będzie to?! Ach ty konserwatysto!

— Konserwatysto? Tak, swoją drogą, to konserwatyzm. Więc dobrze, od tej pory będzie elektryczność. Trudna rada.

— Dlaczego, trudna rada? Co to znaczy?

— Nie, nic, nic! Ach mój Boże, tak żywo mam w pamięci, jak przed laty beztrosko się do tych jarzących świeczek uśmiechałem. Ale wszystko jedno. Niema o czem mówić. Teraz będę się patrzeć, jak do elektrycznych światełek będzie się uśmiechała moja córeczka i to mi wystarczy.

— No naturalnie.

— A pomyśleć, że potem zkolei mojej Ewusi będzie się trudno rozstawać z żarówkami na choince, kiedy je wypadnie zastąpić jakimś nowocześniejszym sposobem oświetlenia, do którego znowu będą się uśmiechać następni.

— Głupstwo. Wszystko to konserwatyzm i nic więcej. Bo czyż to nie wszystko jedno, świeczki czy co innego, byleby się świeciło!

— Tak, oczywiście! Właściwie wszystko jedno. To też ja nic nie mówię. Tylko że trochę tych świeczek zostało jeszcze z zeszłego roku.

— No więc co?

— Nic, może szkoda by było, żeby się zmarnowały.

Marjusz Maszyński.

Podczas wizyty bułgarskiej pary królewskiej w Beogrodzie odbyło się polowanie reprezentacyjne w lasach Petrowickich. Na fotografji (od prawej): król Borys III, królowa jugosłowiańska Marja, królowa bułgarska Joanna, król Aleksander

Wspaniały bieg narciarza po dziewiczym śniegu w górach Szwajcarji

ŻYWE ŹRÓDŁA

W Polsce istnieje rozległa i silna tradycja żywa, tycząca się zwłaszcza naszych powstań i przechodząca z pokolenia na pokolenie. Aż dziwnem się wydaje, że po tak ogromnych wstrząsach, jak ostatnia wojna, że po tak wielkich wzruszeniach dziejowych, jak odrodzenie państwa polskiego, i wreszcie w chaosie społecznym i ekonomicznym, rozbijającym życie rodzin, i w koniecznościach, zniewalających do zastanawiania się tylko nad tem, co jest teraźniejsze i aktualne, tak wiele po polskich domach, wiejskich i miejskich, mówi się o tem, co zasłyszało się od swoich ojców i dziadów, z takim pietyzmem przechowuje się stare fotografje, pamiątki i korespondencje.

Ja tej strony polskiego życia dotknąłem się przypadkiem, i to nie przy studjach historycznych, ale przy pracach beletrystycznych i historyczno-publicystycznych.

Możeby opowiedzieć pokrótce te rzeczy, bo jakżeż inaczej to co powyżej zilustrować?

Przed kilku laty pisałem powieść *Odloty* o partyzantce Józefa Zaliwskiego i losach Artura Zawiszy Czarnego, straconego w Warszawie w 1833 r. O Zaliwskim materjał historyczny miałem dostateczny, ale o Zawiszy prawie nic. Jednak postać ta tak żyła w pamięci, że w okolicach, skąd był rodem, do niedawna jeszcze synom na jego pamiątkę dawano imię Artura. Każdy z nas słyszał w dzieciństwie o przekleństwie Zawiszyny, rzuconem na Paskiewicza:

„bodajeś nie mógł skonać", i o tem, że go zjadły wszy.

Gdy wzniesiono Paskiewiczowi pomnik na Krakowskiem Przedmieściu, to ktoś na pomniku Kopernika przylepił kartkę z zapytaniem: „Kto między nas wlazł?", a na kolumnie Zygmunta taką samą, z odpowiedzią: „Wszarz". Tak przynajmniej opowiadano, bo nie wiem, czy kto te napisy widział.

Pamięć więc o Arturze Zawiszy i jego losach żyła — żyła, żeby tak powiedzieć, w sentymencie, bo wiadomości istotnych brakło zupełnie. Nie wystarczało mi to, co znajdywałem w drukach emigracyjnych, ani co Berg pisał. Sięgnąłem do archiwów, czytałem wyglądem samym odstraszające rosyjskie papierzyska, zawierające protokóły śledztwa nad nim, a zachowane w Archiwum Akt Dawnych. Samemu udusić się przy tem można, a nie postać jakąś wskrzesić. Niema nic przykrzejszego w czytaniu, niż papiery śledcze. Ostatecznie nawet imienia Zawiszyny w nich nie znalazłem, i zniechęcony wyrzekłem się mojego zamiaru powieściowego. Dla powieści nic mi nie dały „źródła".

I otóż zupełnie przypadkowo wpadłem na tradycję żywą. Poznałem córkę Alfreda Zawiszy, rodzonego brata Artura, także powstańca i emigranta, panią Władysławę Hulewiczową, i od niej dowiedziałem się prawie o wszystkiem, o czem wiedzieć pragnąłem, bo oczywiście od ojca swojego o wszystkiem wiedziała. A nie zapomnę nigdy tej chwili, gdy w Warszewicach, w jej pięknym dworze na Pomorzu, zobaczyłem pamiątki po Zawiszy i przeczytałem korespondencję, która po nim została.

Zapadł głęboki letni wieczór, pozapalano lampy naftowe, pani Hulewiczowa poprosiła mnie do swego pokoju i z ciężkiej, okutej szafy wydobyła czerwoną tekę. Była to ta sama teka, w której Zawiszyna przechowywała listy po synu, od najwcześniejszych, gdy poszedł do gimnazjum, aż do ostatnich, pisanych z więzienia, skąd zaprowadzony został na plac egzekucji publicznych. Te ostatnie podziurawione były, bo przenosił je wartownik w lufie od karabina. Listy, które do śmierci odczytywała matka Artura Zawiszy, czytała teraz głośno jego bratanka — a znała je prawie na pamięć — i potem wyjęła z szafy tę z legendy znaną jego chustkę, którą przed śmiercią zawiązać mu chciano oczy, a o Paskiewiczównie mówiła „Anna", i o tem, że jej babkę odwiedzała w wiele lat jeszcze po straceniu Artura. Była to jakaś miłość, o której inne wiadomości się nie dochowały.

Tak znalazłem podstawę dla powieści, której mi nie dał archiwalny materjał historyczny.

Pamiętałem o tem doświadczeniu, gdy przystąpiłem do pisania feljetonowych sylwet „Ludzi listopadowych", a później „Ludzi styczniowych".

Do historji powstania listopadowego jest tyle pamiętników, djarjuszów sejmowych, pism emigracyjnych, że jego bohaterzy rysują się w wyobraźni bardzo plastycznie. Jednak pozostało jeszcze wiele materjału w posiadaniu rodzinnem, i ten do mnie napływać począł. Tak więc dostałem list jenerała Blumera do swego w wieku niemowlęcym syna, list przed samą nocą listopadową jakby w przeczuciu śmierci pisany, a już dziś dla wydania sądu o tym jenerale niezbędny.

O ile barwny jest materjał listopadowy, o tyle nie odznacza się kolorowością tyczący się powstania styczniowego. Ludzi się z tego materjału nie poznaje. Pokolenie 1863 r. pisało gorzej, niż poprzedzające je pokolenie powstańcze, i pisało o wiele mniej. Tym zaś, którzy pisali o niem, którzy je chcieli odtworzyć, wizję swoją narzucił Grottger, w znikomej części tylko prawdziwą. Nie poznaliśmy ludzi styczniowych, pomimo że tylu z nich pomiędzy nami przebywało.

W mojej wyobraźni nie przedstawiali się oni według tego psychologicznego wyrazu, jaki im dał w rysunkach swoich Grottger, ani według utworów Żeromskiego. Inną, żywą, miałem tradycję.

Mój ojciec, mając lat osiemnaście, czy siedemnaście, z młodzieżą krakowską poszedł do Ojcowa, a później, dalszemi kolejami powstańczego losu, znalazł się pod Czachowskim, po jego śmierci pod Bosakiem, i wreszcie bardzo ciężko ranny, leczył się w ukryciu w Drzewicy, majątku barona Rayskiego.

Poraniony był srodze, bo i od kuli karabinowej i od dragońskiego pałasza, i od nahajów kozackich plecy miał tak zbite, że do samej śmierci znać było na nich białe, na dwa palce szerokie blizny. Schwytany przez kozaków stał pod gałęzią, i tak przed powieszeniem był sieczony. To go od śmierci ocaliło, gdyż w czasie tej przeciągającej się egzekucji nadciągnął oddziałek powstańczy i go uwolnił.

Mimo przejść podobnych człowiek ten miał dość pogodne spojrzenie na swoje przygody i różnił się tem od innych powstańców, że lubił o powstaniu opowiadać. Nic w nim nie było z Grottgera. Opowiadał przedziwnie, niezwykle obrazowo, ze swadą, a nawet z humorem. Nie wszystko zapamiętałem. Niektóre rzeczy utkwiły lepiej w pamięci memu bratu, inne mnie, przypominaliśmy je sobie razem. Były szczegóły, których ani rusz potwierdzić nie chciała historja. A więc, że Pustowojtówna najpierw była adjutantem u Czachowskiego. Ojciec mój ją znał, pamiętał bardzo swawolne śpiewki, o niej w oddziale śpiewane, i miał od niej na pamiątkę rewolwer. A według

źródeł historycznych ona była tylko adjutantem Langiewicza. Miał wielki kult dla Czachowskiego, lecz tak o jego gwałtowności, przechodzącej w okrucieństwo, się rozwodził, że i tego kultu nie można było zrozumieć i opowiadanie czasem wydawało się w zapale przesadzone.

Przyszedł czas, gdy się zabrałem do studjów nad ludźmi styczniowymi. Między innemi znalazłem w bibliotece Akademji Umiejętności pamiętnik rękopiśmienny kurjerki powstańczej, obywatelki z Radomskiego. I wszystko mi się według tego pamiętnika potwierdziło. Sam Langiewicz tej pani opowiadał, jak Pustowojtównę, gdy u niego się zjawiła, do Czachowskiego, jako do najstarszego komendanta, odesłał. A o Czachowskim pamiętnikarka pisze, że cierpieć nie mogła „tego starego gwałtownika" z powodu jego srogości, i te same szczegóły podaje, które ja z opowiadania znałem.

Zacząłem pisać „Ludzi styczniowych" i w czasie tego otrzymywałem listy ze wszystkich stron Polski, zawierające nieraz bardzo ciekawe szczegóły o powstańcach. Do listów tych dołączane były często pozostałe po nich zapiski i fotografje. Nie wykorzystałem wszystkiego, miejsca mi brakło, i nie cały oczywiście materjał, który w Polsce się znajduje, do mnie nadpłynął. Tego musi być jeszcze bardzo dużo, a opanowanie go zmieniłoby w niejednem nasze poglądy na powstania.

Z listów tych przekonałem się, że tradycję u nas utrzymują nietylko kobiety. Pisały do mnie także, ale przedewszystkiem pisali mężczyźni, i oni głównie się troszczyli o ścisłość prawdy historycznej.

St. Szpotański

W kraju Dżingis-Chana

(Korespondencja własna „Świata" z Bargi).

„Szerokie i puste rozpościerały się naonczas stepy i wyżyny Bargi. Czasem tylko przemykały przez nie niewielkie stada antylop i przeciągało górą lotne ptactwo. Żyli tam ludzie-myśliwcy. Niezawodnemi były ich strzały. Trafiały rącze antylopy w same serca i strącały z obłoków chybkie ptactwo. — Aż jeden wódz, najświetniejszy z pośród strzelców, począł się puszyć i wołać dumnie, iż celniejszemi są pociski jego łuku od złotych strzał słońca. — I rozgniewał się na to straszliwie Bóg Najwyższy i przywołał ku sobie całe plemię. A gdy padli na twarze, rażeni jasnością jego postaci — rozkazał wodzowi onemu strącić z chmur małe ptaszę, jaskółką zwane. — Lecz drgnęła ręka niezawodnego myśliwca przed obliczem Pana: zwinna jaskółka wzbiła się jeszcze wyżej, utraciwszy tylko kilka czarnych piórek z ogona, który przybrał kształt strzępiastej strzały... Zapłonął jeszcze większym gniewem Pan na nieudolność i chełpliwość ludzką i, choć nie przywrócił jaskółce dawnego jej kształtu — ukarał myśliwców, zamieniając ich w małe gryzonie — bobaki".

Takiemi opowiadaniami zabawiają się w długie wieczory ciężkiej zimy — nieliczni mieszkańcy Bargi, tego dalekiego kraju, gdzie porozrzucane zrzadka niskie „fanzy" niewiele różnią się od gęsto w stepie napotykanych „budowli" bobaków. Przysadkowate dachy, pokryte grubą słomą, wyrastają piaskową plamą z zielonej powierzchni stepów, rozciągających się szeroko wzdłuż Arguni, która, łącząc się z Szyłką, daje początek Amuru — naturalnej granicy między Z.S.R.R. a Bargą.

Wielka mongolska pustynia Gobi wysłała tu swą północną gałąź wraz z głębokim, ciepłym i suchym oddechem południowego wiatru. Odgrodzona od morza łańcuchem gór Wielkiego Hinganu, uwieńczona od północy pasmem lasów—nie zna Barga prawie wcale śniegu ani deszczu. Zawsze czyste, nieznośnie (dla Europejczyka) jasne niebo — zsyła żar letnich, upalnych dni, lub przeraża stężałym niebieskim zlodowaciałym stropem. Bliskie sąsiedztwo z pustynią Gobi wpływa na gwałtowne zmiany pór roku i dużą różnicę między temperaturą minimalną a maksymalną. Mrozy dochodzą do — 40, upały do + 40. Najbardziej zimne miesiące — to styczeń i luty, wyjątkowo przykry — kwiecień, przynoszący silny wiatr z tumanami kurzu i piasku, najgorętszy — lipiec, a najłagodniejsze — miesiące jesienne: umiarkowanie ciepłe i słoneczne.

Ludność Bargi, przeważnie koczownicza, wędruje po szerokich stepach południowo-zachodniej połaci kraju, bogatych w paszę i wodę. Głównem jej zajęciem jest hodowla bydła.

Nad brzegami słonych jezior pasą się ogromne stada owiec, koni, bydła rogatego i wielbłądów dwugarbnych, a wody Dałaj-Nor'u (największego jeziora Bargi) i Arguni obfitują w odmiany karasi, szczupaków i sumów.

Osiadli mieszkańcy Bargi, a jest ich 40% — mieszkają w nielicznych osadach rolniczych, kryjąc się w swych nędznie skleconych „fanzach". — Za niskiem wejściem brudne, zadymione wnętrze. Umeblowanie więcej, niż prymitywnie.



Najpewniejszy środek komunikacyjny Mongołów



Jurta koczowników w stepie



Dowóz drzewa do Hojłoru

Wzdłuż ścian biegną szerokie kamienne „kanny", służące do spoczynku, ogrzewane w zimie od spodu ciepłym dymem, przepływającym od pieca specjalnemi przewodami. Na nich kulą się ubrani w watowaną odzież i futrzane czapy — brudni, zarośnięci, o skośnych oczach, napół dzicy ludzie. Przeważnie Mongoli, Burjaci i mały odsetek t. zw. „zabajkalskich kozaków", których z rodzinnej republiki wypędziły nowe ustawy, znoszące prawo własności. Osiedli w lesistej, północno-wschodniej części kraju, gdzie zakładają osady rolnicze.

O minimalnym nawet jednak wywozie płodów rolnych niema mowy. — Natomiast bardzo poważną pozycję w bilansie handlowym stanowi wywóz drzewa, który przynosi Bardze około 400 tys. dolarów rocznie. Lasy Bargi bowiem obfitują w wysokie gatunki drzewa, z których najcenniejszą jest t. zw. „listwiennica", przypominająca naszą sosnę, ale smuklejsza, o twardszem drewnie.

Największe jednak bogactwa Bargi kryją się w dotąd nieeksploatowanych kopalniach i źródłach mineralnych. W żyłach granitu Hinganu i w piasku rzek górskich coraz częściej, — nieraz zupełnie przypadkowo, — natrafia się na złoto. Oprócz tego znaleźć można spore złoża rudy srebrnej i ołowianej, węgla kamiennego, wapna i gipsu, a z cennych kamieni napotyka się kryształ górski i szpat.

O 200 km. od Hajłaru leży słynne, — dotychczas tylko wśród Mongołów, — uzdrowisko — Wielki Arszan. Na przestrzeni pół klm. kw. wytryskają 44 źródła o temperaturze od 1° do 40° C. Komisja naukowa z r. 1925 ustaliła odrębny skład chemiczny każdego ze źródeł, przyznając im cały szereg własności leczniczych.

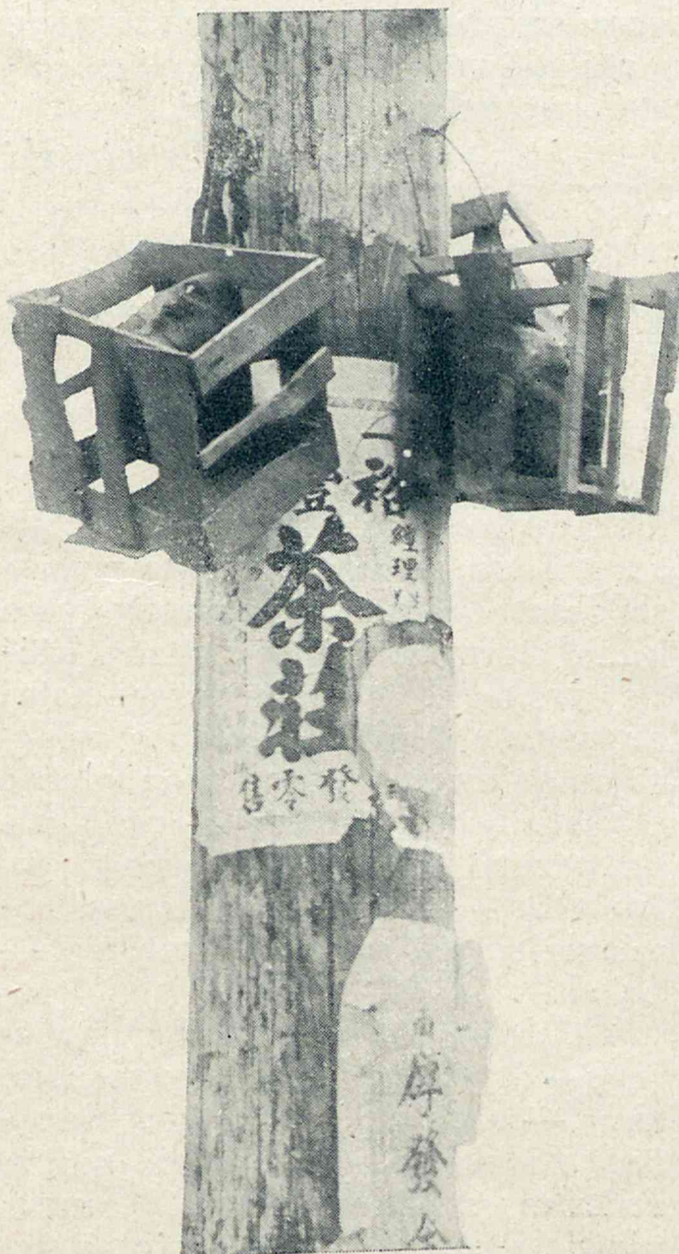
Nic fałszywszego jednak nad wyobrażenie, że W. Arszan przypomina teraz, albo usiłuje przypomnieć wykwintne europejskie „bady"... Nadal ciągną tu pielgrzymki z całej prawie Azji i nadal o cudownych właściwościach tych leczniczych wód nie wiedzą nic schorowani magnaci Europy, ani znudzeni miljonerzy Ameryki. — Ubogi słownik mieszkańców Bargi nie zna jeszcze słowa „reklama".

* * *

Kraj, który obejmuje przestrzeń $^{2}/_{5}$ Polski i leży mniejwięcej na tej samej szerokości geograficznej — posiada aż... dwa miasta, z których Hajłar, stolica, liczy 14 tys. mieszkańców. (Pograniczne miasto, Mandżurja — od czasu umocnienia się rządów bolszewickich w Rosji ogromnie straciła na znaczeniu). Hajłar kiedyś, jak twierdzi nasz rodak z Harbina, inż. Kazimierz Grochowski na podstawie swych badań archeologicznych, — był świetną siedzibą Dżyngis-chana, a monety z czasów chińskiego cesarza Tchao-Dżu z dynastji Tan, panującego w latach 618 — 625 po Nar. Chr., świadczą o tem, że dzieje Bargi sięgają wielu wieków wstecz.

Historja Chin i Mandżurji stwierdza, że Barga od wielu lat prowadziła odrębne życie polityczne, opierając się ze zmiennem szczęściem zaborczym zakusom Pekinu.—W styczniu 1920 r. ustąpiła przemocy Chin i została przyłączona, jako okręg Hałunbuirski, do prowincji Hejłudżjańskiej. Ostatnie walki japońsko-chińskie zmieniły oblicze polityczne Bargi: stała się częścią składową nowoutworzonego państwa Mandżu-hao, z własną mongoło-burjacką administracją.

Administracja koczowniczej i myśliwskiej Bargi zbliżona jest do organizacji wojskowej. Koczownicy i myśliwi dzielą się na 18 chorągwi. Dla odróżnienia każda z nich posiada swą barwę i sztandar. — 18-u chorągwiom odpowiadają przydzielone im jednostki terytorjalne, t. zw. „chuszuny". Chorą-



Głowy ściętych przestępców wystawione na pokaz publiczny



Stóg suchego nawozu, używanego na opał

giew prowadzona jest przez naczelnika, t. zw. „ugurdę", — w stopniu wojskowym pułkownika. Władzę ogólną nad chorągwiami sprawuje „fudutum", inaczej „jamyń", wybrany przez zebranie ugurdów i zatwierdzony przez naczelnika państwa. Jamyń ma dwu pomocników: jednego z wyboru, drugiego naznaczonego przez ministra spraw wewnętrznych państwa. W rękach jamynia spoczywa kierownictwo administracją Bargi koczowniczej, a od niedawna i osiadłej, bo urząd dubania w ostatnich miesiącach został zniesiony.

Dróg komunikacyjnych w naszem znaczeniu Barga nie posiada. Nawet Hajłar nie może pochwalić się ulicą pięknie brukowaną „kociemi łbami". Natomiast są tu szerokie drogi wałowane — od wieków przez koczowników utarte, w niczem naszym szosom nie ustępujące.—Cztery główne trakty krzyżują się w Hajłarze, łącząc stolicę Bargi z Urgą, stolicą Mongolji Zewnętrznej, odległą o 1350 km. Przestrzeń tę autobusy pokonywały w ciągu 8-u dni. Obecnie komunikacja jest przerwana. — Bardze pozostaje tylko połączenie ze wschodnią krawędzią Azji za pomocą t. zw. „Wschodnio-chińskiej drogi żelaznej", zbudowanej przez Rosjan w 1900-ym roku. Ta jedyna w Bardze trasa kolejowa przechodzi przez Mandżurję i Hajłar, biegnie dalej przez Hingan (ostatnią stację w obrębie Bargi) aż do stacji Pogranicznaja, gdzie łączy się z t. zw. Ussuryjską koleją, kończącą się we Władywostoku. — Japończycy obecnie projektują nową linję kolejową, która przechodzić będzie przez terytorjum Bargi, łącząc rzekę Amur z portem Dajrenem.



Typy Mongolskie w Borgi

Wzmoże to niewątpliwie ruch osadniczy i handlowy w Bardze, bowiem wzdłuż linji skupia się w małych osadach element napływowy, złożony przeważnie z Chińczyków, Rosjan i Żydów z naszych kresów wschodnich. Oni to głównie zajmują się handlem i dopomagają rozwojowi przemysłu, który dotychczas znajduje się w stanie zupełnego zaniedbania. Tylko dwie elektrownie w m. Mandżurji i w Hajłarze, parę tartaków parowych w koncesjach leśnych, gorzelnie i oczyszczalnia wełny w Hajłarze dowodzą, że rząd Bargi czyni pewne wysiłki w celu ożywienia ruchu przemysłowego.—Mieszkańcy Bargi znajdują się jeszcze w okresie gospodarki rękodzielniczej. Rzemiosła są bardzo rozwinięte. Kwitnie garbarstwo, kuśnierstwo, siodlarstwo, rymarstwo, szewctwo, krawiectwo a nawet farbiarstwo i wyprawa futer. Wszakże wartość tych wyrobów jest bardzo niska, bo zajmują się rzemiosłem głównie Chińczycy, słynni ze swego konserwatyzmu i niedbałości w wykonaniu.

Handel natomiast jest dość ożywiony. Od czasów umocnienia się rządów bolszewickich w Rosji — większość firm handlowych przeniosła się z pogranicznej Mandżurji do Hajłaru, gdzie obecnie jest 340 różnych przedsiębiorstw handlowych. Za ich pośrednictwem wszystkie „chuszuny" i osady w Bardze otrzymują herbatę, cukier, mąkę, materjały budowlane i t. d. Ruch surowców z Bargi kierowany jest w różne strony. Kupcy Hajłarscy wysyłają futra do San Francisko i do Hamburga, dokąd wywożą też skóry i jelita baranie (na parówki); mięso i ryby mrożone idą do Londynu, wełna, szerść wielbłądzia i włoś koński—do Liverpoolu. Mają też ożywione stosunki handlowe z Mandżu-hao, Japonją i Chinami.

* * *

Polaków tu nie spotykamy. — A szkoda. Kiedy bowiem kryzys gnębi nas we własnym kraju, — Barga cierpi na brak przedsiębiorczych i inteligentnych jednostek, które podjęłyby się eksploatacji bogactw tej pierwotnej jeszcze ziemi. Nasi przemysłowcy, handlowcy i inżynierowie-specjaliści, których taki nadmiar produkują rok-rocznie wyższe uczenie — wolą jednak wegetację długiego oczekiwania na „pewną" posadkę za 200 zł. mies. — od rzucenia się w wir może trudnych i ryzykownych interesów ale za to świadczących o energji i przedsiębiorczości. Więcej rozmachu i odwagi — a moglibyśmy otworzyć sobie z łatwością okno na Daleki, pełen „niewyczerpanych" skarbów, Wschód.

Hajłar *Stefan Hebda*



Dwaj żołnierze mongolscy z instruktorem japońskim

Połów pereł

STU FILOZOFÓW U BATY

Malkontentowi dogodzić nie można.

Śledziennik znajdzie plamę i na słońcu.

Wątrobiarz będzie twierdził z uporem, że żyjemy w czasach barbarzyńskich.

W najlepszym razie zwykły pesymista orzeknie, że „nic nowego pod słońcem".

Tymczasem...

Czy Platon, Sokrates albo Kant szyli buty?

Idziemy z postępem. Wiek XX przyniósł i to udoskonalenie! W roku 1933 tysiąc młodych doktorów filozofji wyszło w świat z dyplomami w ręku. Ale co wart jest doktorat, kiedy na filozofję nie moda.

Na szczęście, działo się to w Czechosłowacji. Zaangażował ich z miejsca Bata. Naturalnie nie wszystkich — przecież za wiele czasu stracili na uniwersytetach i niełatwo dorównają w pracy dwudziestoletnim rzemieślnikom z pięcioletnią praktyką szewcką.

Nie wszystkie buty Baty będą krzywe, dzięki temu. Bo przecież jak się taki filozof zamyśli...

Więc stu filozofów tylko będzie szyło buty. A tamtych dziewięciuset będzie się obywało bez butów.

CZARNE PERŁY

Skłodowska-Curie, Pasteur, Calmette i inni pracę swą oddali ludzkości, niosąc jej ulgę w najstraszliwszych cierpieniach. Pan dr. Gerlich, niemiecki wynalazca, miał inne zgoła zmartwienia. Między momentem pociągnięcia za cyngiel a chwilą gdy kula trafia we wroga — czas mu się wydawał wiecznością.

Uparł się i wynalazł kule najszybsze na świecie.

Już się nie będzie denerwował długiem oczekiwaniem. Jego kula robi 40 kilometrów na sekundę.

Czy aby zdąży?

PERŁY STYLU

Z pewnego *autentycznego* druku reklamowego.

Wierszem:

„Chcesz mieć meble ładne
I za mało złota
Chcesz ty mieć paradne
Tylko wstąp do ixa".

A dalej prozą:



Chcesz udekorować twe młode szczęście sypialnią?

Chcesz pieścić własne oko pięknym salonem?

Chcesz poznać kunszt, plastykę, wyrafinowany gust, grę kontrastów estetycznych wyrobów ostatniego dłuta? — Zajrzyj do firmy ix.

Estetyka — to matka Gustu.

Bawi oko i wyobraźnię.

Leży tedy w twoim obowiązku.

Energji i chęci — przekonać się!

* * *

Figlarz!

Ale te same zalety świetnego pióra znaleźliśmy „na łamach" poczytnego dziennika — w długiej dysertacji poświęconej jednemu z teatrów.

Niepodpisany autor stwierdza:

„Dla ogółu ludzi inteligentnych teatr jest *źródłem finezji i radości umysłu*".

Jednak zaznacza z bólem, że „pójście do teatru, stanowiące *jedno z minimum praw człowieka do sztuki*, stało się niedostępne, *cedzone jako przywilej losu*".

Ale wszystko się zmieniło, bo powstała instytucja, która powiedziała sobie: *„Trzeba dopiąć — najwyższej frekwencji"*.

Wprowadzono abonamenty — i odtąd *„Chodzenie do teatru staje się metodycznem przesiąkaniem kulturą artystyczną"*.

* * *

Wiedzieliśmy dotychczas, że można *dopiąć celu*, ewentualnie *dopiąć ubranie*. Możność *„dopięcia najwyższej frekwencji"* jest rewelacją.

Podziwiamy bez zastrzeżeń te perły stylu. Zwłaszcza *„cedzenie przywileju"* wraz z *„metodycznem przesiąkaniem kulturą"* wydaje nam się genjalnem zastosowaniem elementów płynnych w prozie iście spiżowej.

* * *

Tydzień świata

Po rewolucji hiszpańskiej

(V.) Młoda republika hiszpańska znalazła się nagle w potrzasku. Wybory do pierwszego przedstawicielstwa narodowego, wybranego na podstawie nowej konstytucji i najbardziej demokratycznej ordynacji wyborczej, — dały zwycięstwo prawicy, podejrzewanej o uczucia monarchistyczne i faszystowskie. Zastraszona powrotem dyktatury skrajna lewica targnęła się na konstytucyjny porządek rzeczy, wywołując w szeregu miast, z Saragossą na czele, poważne zaburzenia.

Rzucono bomby. Podpalono kościoły i pałace. Proklamowano strajk generalny. Zdawało się, że między zwycięską w wyborach prawicą a zrewoltowaną lewicą republika będzie zduszona.

A jednak wyszła zwycięsko z opresji. Energiczne zarządzenia władz poskromiły warchołów anarcho-syndykalistycznych.

Socjaliści, którzy po wybuchu powstania oskarżali rząd o sprowokowanie wypadków uległością wobec prawicy, teraz zaczęli się odżegnywać od podpalaczy i terorystów. Okazało się, że jest ich garstka, która przy głosowaniu powszechnem nie może przeprowadzić jednego posła, ale w zamęcie ulicznym gotowa uchodzić za masy. Te nie poszły za zdradzieckim podszeptem. W Hiszpanji przywrócono ład i porządek. Umiarkowany i rozsądny rząd republikański potrafi też przywrócić spokój w duszach i umysłach obywateli.

Wieczory czeskosłowackie

(Ol.) Istniejące od wielu lat w Warszawie Towarzystwo Polsko-Czechosłowackie powzięło szczęśliwą myśl organizowania „wieczorów zimowych" dla swych członków i gości. Mają one na celu zbliżenie towarzyskie oraz zaznajomienie publiczności polskiej z różnemi przejawami życia sąsiedniego państwa. Mówi się bowiem u nas często o sympatjach dla bratniego narodu, deklamuje się o wspólności interesów, ale bardzo mało wie się o tym narodzie — o jego dziejach, kulturze, aspiracjach, o ustroju politycznym, zasobach gospodarczych i t. p.



B. premjer czeskosłowacki Antoni Svehla zmarł po długiej chorobie

To też pierwszy wieczór towarzyski poprzedzony został treściwym odczytem dyr. inż. Józefa Waldmüllera p. t. „Piękno Czechosłowacji". Prelegent w barwny i zajmujący sposób przedstawił uroki turystyczne sąsiadującego z nami kraju, opisując Szczyrbskie Jezioro, Tatrzańską Łomnicę, Smokowiec i wiele innych malowniczych miejscowości. Dla zilustrowania słów prelegenta wyświetlono trzy krótkomontażowe filmy krajoznawcze, unaoczniające pełnię krasy Tatr po tamtej stronie granicy.

Bridge i dancing zakończyły ten przemiły wieczór, zorganizowany w salonach Klubu Społeczno-Politycznego.

Zgon sędziwej firmy

Trudno oprzeć się melancholji, czytając następującą notatkę w pismach amerykańskich:

„Wyprzedaż z powodu likwidacji: takie ogłoszenie widnieje na skromnym szyldziku magazynu jubilerskiego „Galt & Bro.", istniejącego w Waszyngtonie od 131 lat, a należącego do wdowy po Prezydencie Woodrow Wilson. Kryzys zabił i tę firmę.

Minęły te piękne czasy, kiedy stałym klijentom wręczano za kontuarem futeraliki z kosztownościami, ocenianemi nieraz na 200 tys. dolarów, i to bez żadnego pokwitowania. Panie waszyngtońskie już nie wydają wielkich bankietów na 50 — 75 osób, kiedy to każdy gość otrzymywał od firmy Galt & Bro. upominek wartości 20 dolarów. Zabrakło wielkich dochodów, których spora część szła na zakup pięknej biżuterji.

Interesy tak się popsuły, że właścicielka magazynu, p. Wilson, postanowiła go zlikwidować; nie chce bowiem pójść na śliską drogę nowoczesnego komercjonalizmu. Sprzedałaby magazyn, gdyby znalazł się nabywca, poręczający, że będzie interes prowadził „równie etycznie". Interes, który „żył czysto" przez 131 lat, nie może „umrzeć brudnym".

P. Wilson odziedziczyła magazyn po swoim pierwszym mężu, Normanie Galt. Rodzina Galt'ów nie wypuszczała magazynu ze swoich rąk przez całe 131 lat istnienia.



Dzieląc się symbolicznie tradycyjnym opłatkiem z Czytelnikami, Współpracownikami i Przyjaciółmi naszego pisma, rozrzuconymi dosłownie po całym świecie, życzymy Im, aby te Święta Narodzin Odkupiciela zdjęły z ich ramion ciężar trosk codziennych i przywróciły wiarę w swe siły, nadzieję lepszego jutra i miłość powszechną, będącą gwarantką pokoju i szczęścia.

Rozruchy anarcho-syndykalistyczne w Hiszpanji



Dzielnicę robotniczą Saragossy gęsto obsadzono wojskiem



Na ulicach Saragossy rewidowano i aresztowano podejrzanych przechodniów

Moi towarzysze—myśliwi

(Z wrażeń i przeżyć łowieckich)

III.

Władysław Rabski, choć myśliwym był conajmniej równie zapalonym, a towarzyszem na polowaniu — conajmniej równie miłym, innego zgoła był autoramentu. Pochodził z Wielkopolski, za młodu, jako chłopiec niezamożny, polował, gdzie się dało i jak się dało. Z tych czasów pozostało w nim co nieco z instynktów kłusownika. W sztrajfie czy w kotle, trzeba było wciąż go strofować, bo wybiegał naprzód, zapominał o obowiązujących rygorach. Ponosił go ognisty, żywiołowy temperament tak samo na polowaniu, jak wówczas, kiedy trzymał pióro w ręku. Ale gniewać się nań było niepodobna, bo sam przyznawał się do winy i na żartach zawsze się kończyło. Podczas śniadania czy obiadu rej wodził, sypał doskonałemi anegdotami, improwizował rymowane toasty, które nieraz krążyły w odpisach, jako że myśl.wska dezynwolturą wyrażeń nie gardził.

Przez dwa dziesiątki lat polowaliśmy razem, prawie nierozłącznie. Naszej serdecznej przyjaźni nie zdołały zachwiać nawet przeciwieństwa w poglądach i przekonaniach politycznych, które bardzo się pogłębiły od chwili, kiedy wszedł do Sejmu.

Gdy rozpoczynał się okres polowań na kuropatwy, jeździliśmy stale razem do pp. Miecz. Fijałkowskich, pod Kutno. Gospodarz — kochany kolega, autor „Pana Posła" i „Wernej kochanki"; pani domu — subtelna poetka. Atmosfera domu — przemiła w swej prostocie, połączenie wysokiego poziomu intelektualnego i wykwintu towarzyskiego. Rabski na kuropatwach bywał nieznośny. Biegał tak szybko, że nie sposób było nadążyć. Mijały lata, aż oto zaczęła go trawić choroba. Nadeszła taka jesień, że już nie było powodów do robienia mu wymówek; raczej, trzeba było na niego czekać. A w roku następnym, gdyśmy się znów w Skłótach spotkali i w piękny poranek wrześniowy wyszli z psem i chłopakami na rżyska i poplony, Rabski, blady po źle przespanej nocy, zaczął pudłować. Rwie się jedno stado, rwie się drugie, — on, taki dobry strzelec, nic nie podnosi. Słońce zaczęło dogrzewać. Wchodzimy w buraki. Kuropatw wyjątkowo dużo. Mam już trzy dziesiątki z górą, Rabski zabił dwie... Zbliżyłem się doń, widzę, że oczy ma podkrążone ze zmęczenia. W tej chwili podrywają się tuż przed nim kury. Strzela raz, drugi. Pudła. Wtedy ogarnięty nieodpartem wzruszeniem, odrzuca fuzję, siada w redlinie; widzę, że czyni wszystkie możliwe wysiłki, by nie wybuchnąć łkaniem.

— Nie mogę chwycić tchu — koniec. Widzisz sam, nadchodzi koniec...

Przerwaliśmy polowanie, wróciliśmy w milczeniu do dworu. Było to nasze ostatnie wspólne polowanie. Zdaje mi się, że — wogóle — było to ostatnie polowanie Rabskiego.

Franciszek Ejsmond, wyborny malarz rodzajowy (ojciec poety Juljana i malarza Stanisława) był myśliwym wytrawnym. Strzelał równo, spokojnie i niezawodnie. Był na polowaniu zawsze bardzo ambitny, lubił królować. Gdy mu szczęście nie dopisywało, tracił humor, robił się kwaśny. Wiedział zawsze, kto i jak spudłował, i nie chował tego pod korcem.

Zygmunt Bartkiewicz, autor „Słabych serc", choć sam człowiek wielkiego serca, pisarz niepospolity (do kogoż jak nie do niego możnaby lepiej stosować powiedzonko francuskie: „styl, to człowiek!), był oryginałem i na polowaniu. Nie cenił nowoczesnego komfortu w organizacji i w stroju, czynił wrażenie szlachcica, co to lubi wyjść w pole samopas, upatrzyć grzejącego się w kotlinie zająca, strzelić na pomyka, przywiązać do troków... Po co wysilać się na skomplikowane ceremonjały dla osiągnięcia tak prostego wyniku?

Trudno było o większy komtrast, jak Weyssenhoff i Bartkiewicz. Weyssenhoff — jaśnie pan w każdym calu, Bartkiewicz — szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie, zadzierżysty, skory do ostrych odpraw, gdy korda u boku zbrakło. I trzeba dodać, że ci dwaj ludzie, tak odmienni, wzajemnie się bardzo jako pisarze cenili. Wspólną ich cechą było mozolne nieraz szukanie słowa, trafnie i jasno wyrażającego myśl.

Cóż to za miłe bywały letnie polowania na kaczki w Sosnowicy (w historycznej Sosnowicy, gdzie młody Kościuszko kochał się beznadziejnie w wojewodziance Stempkowskiej)! Właściciel tego majątku, p. Teodor Libiszowski chętnie gościł literatów. Zjeżdżaliśmy tam w końcu lipca, Bartkiewicz, Rabski, Weyssenhoff, ja... Dni spędzaliśmy w łódkach, tłukąc ptactwo wodne. Bartkiewicz, wrażliwy na urodę strzelistych dziewczyn rusińskich, rozszerzał zasięg swoich zainteresowań. Już wówczas nie byliśmy pierwszej młodości. Lecz tkwiła w nas taka ochota i radość życia, że bawiliśmy się często jak niedorostki, płatając jeden drugiemu nieszkodliwe figle. Bartkiewicz strzelał wcale nieźle, ale miewał zwykle jakieś niespodziane przeszkody: kuropatwa źle mu się porwała, zając nagle i chytrze zmienił kierunek, ładunek był za mocny lub za słaby. Niechby kto śmiał był wątpić w niezbitą słuszność tych wyjaśnień! Już niesforne wąsy zaczynały latać i padały słowa cięte i nierównie celniejsze niż strzały.

Górował nad nami wszystkimi swem myśliwskiem doświadczeniem i kompetencją Stanisław Lilpop, właściciel Podkowy Leśnej, dla tych cnót łowieckich przez Aleksandra Szwedego przezwany Kopernikiem.

Stanisław Lilpop myśliwstwo i wszystkie jego zagadnienia traktował z wielką powagą, niewolną nawet od pedanterji. Przestrzegał zawsze należnego ładu i porządku, i, gdy trzeba było, potrafił w wykwintnej formie pouczyć tych, co się z pod przepisanej dyscypliny wyłamywali.

Weyssenhoff, który był zaprzeczeniem wszelkiej systematyczności nietylko w pracy, ale i w zabawach, skarykaturował zlekka Lilpopa w „Sobolu i Pannie" (Liebe). Bez złośliwości, bo trudno było żywić urazę do człowieka, świetnie wychowanego, który na polowaniu zawsze miał rację. W Białowieży zdarzyło mi się raz dać dubleta do głuszców,—do jednego, który śpiewał swą pieśń miłosną i do drugiego, który trafem przelatywał. Wracam z puszczy, podniecony tym niezwykłym wypadkiem, uszczęśliwiony. Opowiadam. A Lilpop uśmiecha się pobłażliwie:

— Mój drogi, do tego, który przelatywał, nie powinieneś był strzelać. Do głuszca strzela się tylko podczas pieśni.

I oczywiście, trzeba przyznać, taki jest snobizm myśliwski w stosunku do głuszców (głuszce zapewne bardzo sobie go chwalą). Od tego czasu kilkanaście głuszców przeleciało nad moją głową, nigdy do żadnego się nie zmierzyłem.

Stefan Krzywoszewski.

(D. n.).

Porwane oblubienice

Piękna wieśniaczka z Capri zrobiła rzekomo karjerę, poślubiając angielskiego arystokratę. Axel Munthe mówi o tem z łagodną ironją w czarującej swej „Księdze z San Michele":

„Po śmierci męża przyjechała z powrotem na wyspę i pomału wróciła do prostego trybu życia swych przodków, *których rodowód był o przeszło dwa tysiące lat starszy od rodowodu jej lorda*".

Paradoks — a zarazem prawda. Każdy bez wyjątku pucybut czy gazeciarz rzymski czuje się synem Juljusza Cezara, przyrodnim bratem Marka Aureljusza, a już conajmniej kuzynem Kaliguli — i z niczem porównać się nie da głębia jego pobłażania dla wszelkich „barbari", za jakich uważa (od dwudziestu wieków nieodmiennie) przybyszów z innych krajów.

„Nascere Romano è una speciale concessione di Dio" — (Urodzić się Rzymianinem — to specjalna łaska Boska) — mówi z przekonaniem świetny djalektalny aktor rzymski, Petrolini, typowy „Romano *de* Roma".

Każdy Włoch fanatycznie przywiązany jest do swej przeszłości, choćby miał o niej zresztą mgliste wyobrażenie. Jak niedbały arystokrata, który wie, dokąd sięga jego drzewo genealogiczne — ale wymienić wszystkich swych przodków po kolei nie byłby w stanie.

* * *

Ten kult historji był przez czas jakiś zupełnie źle widziany przez faszyzm. Młody régime wychodził z rewolucji — i raczej skłonny był wołać *„Avant* nous le déluge!" — Futuryzm, duchowy brat sjamski faszyzmu, wywracał wszystkie uznane w sztuce wielkości — a sam Mussolini twierdził dumnie: „Noga moja nigdy nie postała w żadnem muzeum".

Chcieli wszystko budować od nowa — zaczynając historję *od siebie*. (Datowanie dokumentów, gazet, a nawet listów miłosnych cyframi nowej ery przyjęło się zresztą ogólnie — i ciekawe jest, kiedy im się sprzykrzy pisać „9 dicembre 1933 — anno XII". Czy wkońcu zwycięży era chrześcijańska, czy faszystowska? Bo za jakieś lat 200 takie podwójne daty będą już djablo niewygodne).

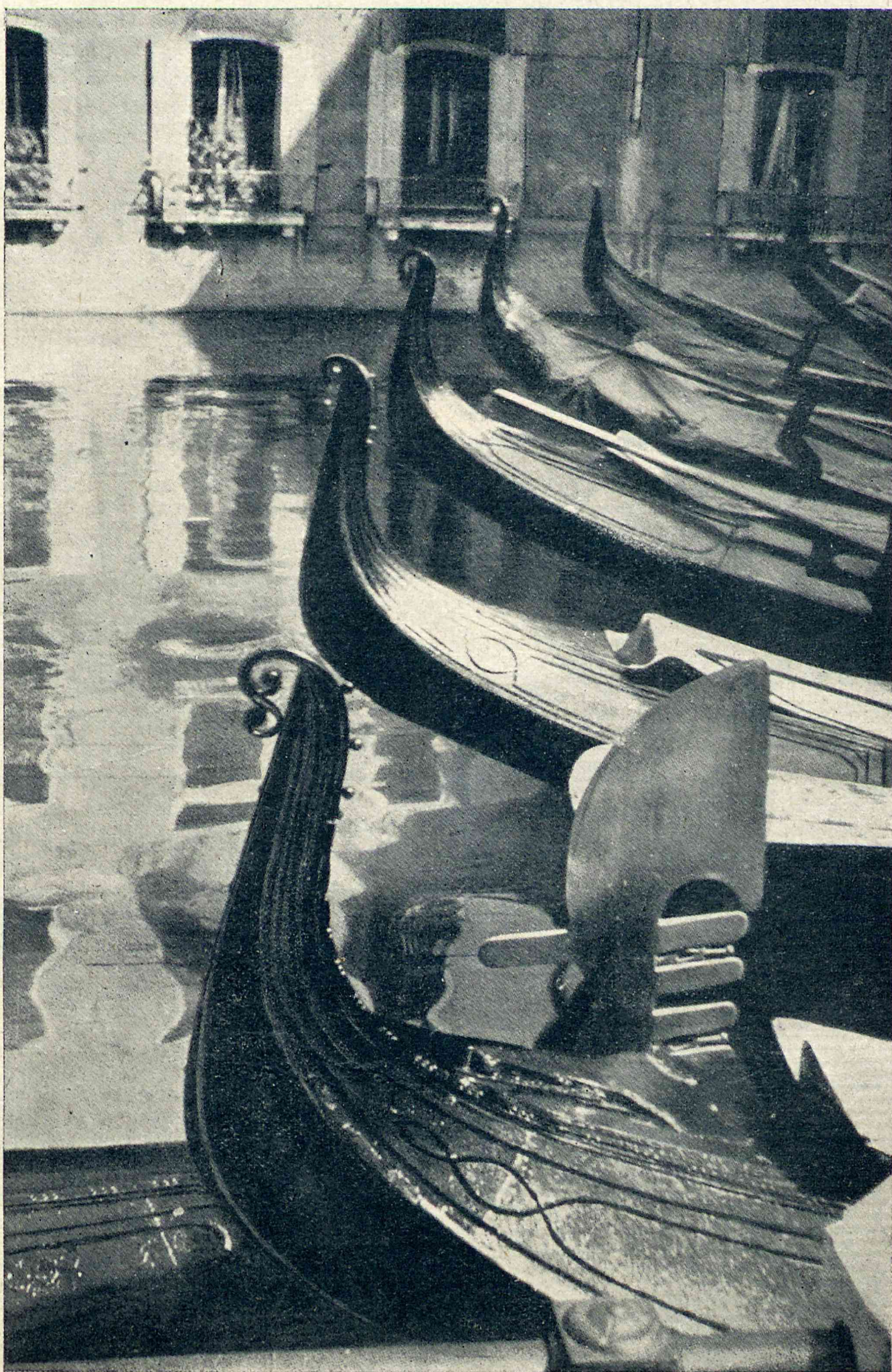
Przeszłość była więc w roku 1922 — roku rewolucji — uważana poniekąd za kulę u nogi. Dziś — po latach jedenastu — kultywuje się ją z pietyzmem.

Mądry i nader wszechstronny Duce zarzucił pozę sankiulota — do reszty starł ze swej mentalności naloty międzynarodowego działacza socjalistycznego — i oto zabrzmiał rozkaz od Alp aż po Sycylję: „Frontem ku tradycji". Rozumie się i docenia i podkreśla teraz na każdym kroku wartość ciągłości historycznej i kulturalnej najstarszej dziś na świecie — i z góry idzie prąd, który może nawet uczonym włoskim trudne nieraz narzucać zadania, np. udowodnienia „czystości rasy włoskiej — od czasów rzymskich niezmiennej".

Dla nawiązania z Rzymem antycznym robi się bardzo wiele. Nowe wykopaliska w Pompei, Herculanum i w rzymskich kolonjach Afryki, olbrzymie prace w samym Rzymie — zbliżają odległą epokę do człowieka współczesnego. Czyni się to nietylko ze względów „exportowych", dla wzmożenia ruchu turystycznego. Czyni się to przedewszystkiem dla podsycania wrodzonej Włochom wysokiej ambicji i podtrzymania w nich zawsze żywego kultu wspaniałej przeszłości.

* * *

Z tych założeń bierze początek i nawrót do folkloru, do lokalnych obchodów uświęconych wiekami.



Zmartwychwstają tradycyjne obrzędy, czasem dawno już zarzucone. Jeden z nich święci swe odrodzenie w Wenecji.

Od roku 944 datował się tam zwyczaj corocznego wyboru dwunastu oblubienic (po dwie z każdej dzielnicy miasta), które w dzień Matki Boskiej, 2 lutego, razem stawały przed ołtarzem. Panny musiały być najpiękniejsze, najcnotliwsze i najuboższe. Wyposażała je hojnie „Venezia la Serenissima" — bogata królowa Adrjatyku — a festyny towarzyszące obrzędowi ślubnemu były tak wspaniałe, że ściągały ciekawych z całej Europy. Sam Doża uczestniczył w orszaku, a wszyscy mieszkańcy Wenecji ozdabiali balkony i gondole, aby godnie wziąć udział w ogólnem święcie. Ślub odbywał się w starym kościele katedralnym Ś-go Piotra. Nieskończone sznury czarnych gondol — takich samych, jak dzisiejsze—wiły się wązkiemi kanałami Wenecji, łącząc się na Canale Grande we wspaniały, wielorzędowy orszak. Zdobiły go najcudniejsze signory i strojnie ubrani cavalieri. Lśniły adamaszki i złotem lite materje, oślepiały blaskiem bezcenne klejnoty, rozbrzmiewały radosne okrzyki tłumów i dźwięki muzyki. Dwanaście młodych par sunęło na czele w dwunastu najwspanialszych gondolach — a wszystkie oblubienice obwieszone były jak święte obrazki niesłychaną ilością klejnotów, wywołując zachwyt powszechny.

Klejnoty nie były fałszywe — ale *były cudze*.

Przezorne miasto uważało, że dość czyni, dając biednym dziewczętom posagi. Sprowadzałoby je jednak z drogi cnoty, gdyby je obdarowywało błyskotkami. Żeby więc pogodzić względy moralne z względami estetycznemi (wenecjanin kocha się w bogactwie i blasku) — klejnoty owe dostawały oblubienice od ojców miasta ...na jeden dzień.

Przedstawienie skończone, rola odegrana, oblubienica „usuwa się w zacisze życia prywatnego" — a klejnoty... wracają do masywnych skarbców miejskich.

I tak trwało przez szereg wieków.

Aliści ta coroczna parada bogactw weneckich nie dawała spokoju mieszkańcom konkurencyjnego portu adrjatyckiego — Tryjestu. Aż raz stało się nieszczęście.

Kronikarz wenecki z roku 1300 opowiada szczegółowo w bardzo rzewnym poemacie, odnalezionym obecnie w archiwach miasta, jak to „mieszkańcy Tryjestu, podżegani przez djabła, postanowili porwać 12 oblubienic wraz z ich posagami, klejnotami i koronami, któremi były przystrojone. Przybyli więc zdradziecko na pięknych łodziach w ów dzień uroczysty, w odświętnych purpurowych szatach, z bronią podstępnie ukrytą pod suknią. W kościele trzymali się gromadą, nibyto z przyjacielskiej życzliwości. A gdy oblubienice odchodziły od ołtarza, na umówiony znak rzucili się do broni, poranili mnóstwo ludzi, wielu pozabijali, porwali panny i klejnoty na swe łodzie i zbiegli".

„Tumult się podniósł straszliwy w całej Wenecji i wysłano wnet pościg za zbrodniarzami, aby uwolnić nader szlachetną i czcigodną zdobycz. Pod wodzą samego doży Wenecjanie na swych chyżych gondolach dopędzili wroga, łupy i panny odbili, a przestępców potopili w morzu".

* * *

Pod koniec średniowiecza święto dwunastu oblubienic zostało zarzucone. Miasto nie było już tak bogate, jak dawniej — a nie mogąc sprostać wspaniałej tradcyji, wolało raczej wyrzec się jej świętowania. „Najjaśniejsza Wenecja" nie chciała błyszczeć fałszywemi szkiełkami tam, gdzie dawniej pozwalała podziwiać swoje bezmierne bogactwa.

* * *

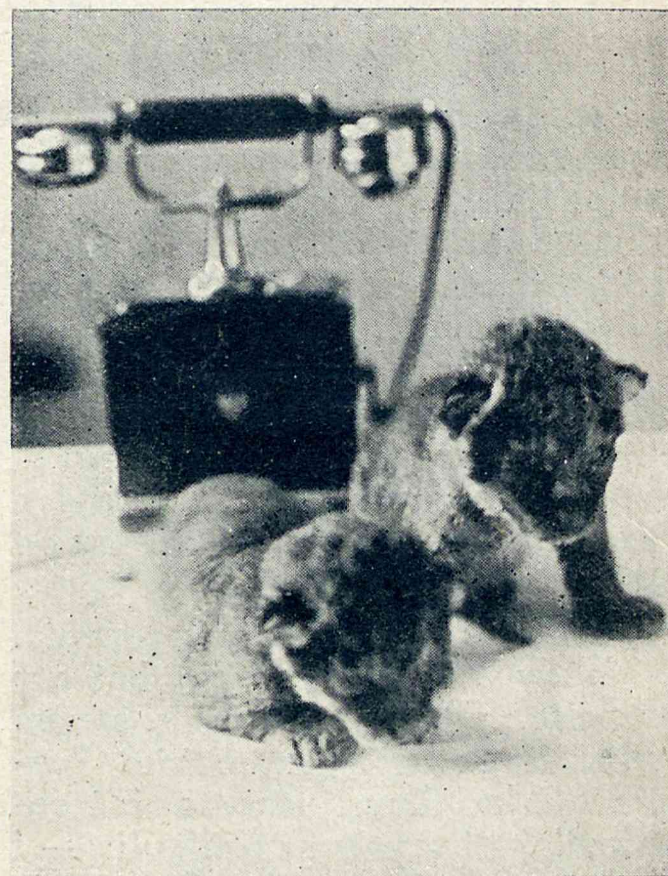
Obecnie młody régime powraca do starego, od pięciuset lat zapomnianego zwyczaju. I po raz pierwszy w tym roku dwanaście dziewic stanie razem przed ołtarzem, a wszystkie zdobne w urodę, cnotę i ubóstwo.

Miasto da im, jak niegdyś, posagi. Ale im pewno nie użyczy klejnotów. Będą musiały zadowolić się ...imitacją.

A zamiast poety, który dawniej wdzięcznym rymem uwieczniał to święto — sunąć będzie zapewne za orszakiem gondol motorówka z aparatem do zdjęć filmowych.

Zofja Norblin-Chrzanowska

PODRÓŻ LWIĄTEK



Nowonarodzone w warszawskim Ogrodzie Zoologicznym lwiątka, nie większe od aparatu telefonicznego, przewieziono samolotem Polskich Linji Lotniczych „Lot" do Lwowa dla przeprowadzenia badań naukowych

Jako bezpłatne premjum powieściowe na m-c grudzień r. b. przeznaczamy dla naszych prenumeratorów powieść:

„DWA KRAŃCE"
W. WERESAJEWA

Przekład autoryzowany H. Winawerowej

Ta rewelacyjna powieść, napisana przez jednego z czołowych pisarzy współczesnej Rosji, odsłania nam ciekawe i dotąd zupełnie w Europie nieznane, życie młodzieży sowieckiej, pracującej w fabrykach, oraz życie rolników w osławionych „KOŁCHOZACH".

Zagadnienie kolektywizacji, jedno z naczelnych zadań rządu sowieckiego, jest bodaj najniebezpieczniejszym i najciekawszym eksperymentem XX wieku. Przebudowanie psychiki 150 miljonowego narodu, zniwelowanie jednostki, pozbawienie prawa własności chłopa, tkwiącego w niej od setek pokoleń — oto zagadnienia, poruszane w tej książce.

„Dwa krańce" — to nadto dzieło wielkiej wartości literackiej.

Tomem tym redakcja „Świata" zamyka cykl premji, udzielonych swym czytelnikom w roku 1933. Staraliśmy się dostarczyć im interesującej lektury, a także dać jakby przegląd zagadnień, jakie nurtują społeczeństwo dzisiejsze.

Uwzględniliśmy w r. 1933 specjalnie literaturę NOWEJ ROSJI, kraju dla nas prawie po wojnie nieznanego, a przecież tak ważnego ze względu na sąsiedztwo i możliwości wymiany gospodarczej. Poznać tę Rosję, staje się naszym obowiązkiem, chociażby urządzenia jej i stosunki wzbudzały w nas nieufność i odrazę.

Gienjalny wynalazca, senator Marconi, odbywając z małżonką podróż naokoło świata, znalazł się w Tokio na przyjęciu prawdziwie japońskiem u barona Kihichiro Ookura

Na wielkiej drodze, łączącej Indje z Tybetem, wybudowano obok starego wiszącego mostu z 1880 roku drugi most, będący wyrazem najnowszej techniki i nowoczesnego stylu. Te dwa mosty — to symbole dwóch epok

Rozmyślania nad „Grepfrutem" i Astrofizyką

Owocarnie i sklepy spożywcze poustawiały w oknach spore piramidy z większych, niż armatnie, pięknych kul żółtych i soczystych. Bywalcy, ludzie doświadczeni opowiadają długo i szeroko, skąd to takie owoce do nas zimą przywożą, dlaczego się nazywają „grepfruty" i dlaczego mają taki smak — jakgdyby pośredni między cytryną i pomarańczą.

Ludzie mniej bywali i doświadczeni zastanawiają się pocichu nad inną kwestją, ważniejszą, zasadniczą. Jak się to je właściwie? Obrać ze skóry i podzielić, jak pomarańczę, krajać na plasterki, jak cytrynę? Czy też może, jak pokazywali ongiś w kinie, w filmie amerykańskim, przeciąć na pół, pocukrzyć i drążyć łyżeczką?

Bardzo trudne zagadnienia rozwiązywać musi ustawicznie człowiek współczesny. I coraz nowe! Bo zważmy — nie tak znów dawno podobny kłopot mieliśmy właśnie z filmem dźwiękowym. Jak się do tego zabrać? Chwalić? ganić? Cieszyć się, że zamiast smętnych dźwięków melancholijnej pianoli słyszymy — z obrazu — głosy ludzkie? Kochać się dalej w Grecie Garbo z filmu niemego, czy przelać uczucia na Sylwję Sydney, bo się nietylko uśmiecha słodko ale też i mówi zabawnie, choć po angielsku...

Pewnej „rutyny" wymaga od widza turniej tennisowy, mecz piłkarski, wystawa w „Zachęcie", popis szkoły baletowej, teatr... Nawet czytelnik książki musi być otrzaskany z pewnemi regułami — ...Chwilka uwagi!

Od dłuższego czasu zaznacza się w naszej literaturze przekładowej wyraźny prąd — może nie trzeba tego mówić głośno, żeby nie urzec — *naukowy*. Gazety podają wiadomości sensacyjne o atomach, kometach, mgławicach i promieniach kosmicznych. Tłumaczymy grube tomy o budowie materji, o łowcach mikrobów, poznajemy nowy świat fizyki. Tłumaczymy de Kruifa, Jeansa, Russella, niema poprostu już takiego w Anglji i Ameryce, który byłby dla nas „za Kopernik"...

Spoważnieliśmy widocznie, romanse kryminalne — z detektywem — nas nie bawią, trafiliśmy na lekturę ciekawszą i to nam się chwali.

Ale nawet słońce ma plamy, cóż dopiero astrofizyk... Do każdej książki naukowej należałoby na dobrą sprawę dodać dla czytelników *zamiejscowych* krótki „sposób użycia".

Przykład: głośny, a dziś już i u nas szerzej znany astrofizyk, sir James Jeans, jest — o czem dobrze wiedzą w Anglji, a nie wszędzie wiedzą u nas — nastrojony nieco mistycznie. Dopóki mówi o granicach wiedzy ludzkiej, o atomach, mgławicach, temperaturach gwiazd i promieniowaniu, trafia na porównania świetne, obrazowe i trafia do przekonania, ma polot, styl i ma słuszność. Ale na pewnych stronicach ciekawej książki przekracza nagle granice, znika jak widmo w mgłach białych i oparach mistycznych. Trudno mu się zresztą dziwić — jego starszy kolega, głośny uczony, znakomity fizyk Sir Oliver Lodge jest z przekonania... spirytystą, pisze obok dzieł poważnych książki o zjawach i twierdzi, że duchy i fale radjowe biegną w tem samem środowisku — w eterze. Dlatego eter istnieć musi.

Obaj panowie razem mają jeszcze dostojniejszego poprzednika, zapisanego złotemi głoskami w dziejach nauki ścisłej, czcigodnego Williama Crookesa, który w wolnych chwilach niesłychane i niesamowite dyrdymały opowiadał — w druku — o pewnem medjum imieniem Kate... Jak to się stało — nie wiemy, sprawa się ciągnie długo, od lat wielu, nie będziemy jej wszczynali na nowo. — Ktoś kogoś za nos wodził i głośny fizyk — jak widać — niezawsze był bystrym obserwatorem.

Krótko mówiąc — mamy tu znów do czynienia z tem samem zjawiskiem, które nas już zastanawiało w pierwszych latach powszechnej a nagminnej manji brydżowej. „Nie mogę wyjść ze zdumienia — mówił Kocio do Bdysia — ten Dziunio to fujara, trzech zliczyć nie umie, a co się okazuje — *fenomenalnie gra w brydża!* Niech mi to kto wytłumaczy!"

Nikt tego Kociowi z Bdysiem nie wytłumaczy. Można być fujarą i świetnym brydżystą, fizykiem i mętnym mistykiem, można mówić na jednej stronicy równaniami różniczkowemi, a na drugiej od rzeczy.

Zdarza się, że dziennikarz, powieściopisarz ma zdumiewający instynkt naukowy, przewiduje w nowelce fantastycznej na dziesięć lat przed Einsteinem teorję Einsteina, jak Wells w „Wehikule czasu", a gromady profesorów, zawodowców nie mogą jej pojąć nawet znacznie później. Zdarza się, że cywil ma węch strategiczny (Clemenceau, Churchill), a zawodowy kapral nic o wojnie nie wie, nic ze strategji nie rozumie. Potrafi głośno krzyczeć na podwórku koszarowem, ale gubi się w wielkich planach.

Książka „o nauce" — powiedzmy to wyraźnie — niczem się właściwie nie różni od książki o Zgierzu albo o Warszawie. Można te miasta znać trochę lepiej, trochę gorzej, ale — w gruncie rzeczy — nie o to w literaturze chodzi... Kto będzie przytaczał tylko dane „naukowe": ilość ulic, domów, numerów hipotecznych, taksówek, dworców, urzędów, analfabetów, pomników, akuszerek, dentystów, napisze przewodnik ścisły, bzdurny, nudny, jakich tysiąc. Tak właśnie wyglądają przeważnie sławetne podręczniki szkolne i obrzydzają młodym entuzjastom tajemniczą krainę wiedzy.

Kto — jak de Kruif i Jeans — usiłuje pisać zajmująco, kto nieco śmielszemi, ryzykownemi rzutami szkicuje drogi i granice bakterjologji nowszej czy astronomji, maluje barwnie ulice i place Zgierza czy Warszawy — wykracza mimowoli poza statystykę, spis ludności, rejestr stanu cywilnego, biuro adresowe. Musi nieraz szukać porównań daleko, nie mówi już językiem cyfr i suchych faktów.

Mówi na własną odpowiedzialność, w cudzysłowie, jego wywody i poglądy są jego własnością prywatną, nie jakiemś „ostatniem słowem" nauki.

Czytelnik takiej książki nie jest osobą pozbawioną dożywotnio wszelkich praw i przywilejów. Przeciwnie — ma prawo krytykować Jeansa, spierać się z samym Einsteinem. Może kpić i mrużyć lewe oko — chwilami.

Musi zdobyć się na własną inwencję — wycisnąć to, co jest jadalne, odrzucić niestrawną skórę...

To dobrze, że czytamy sobie teraz o mgławicach, elektronach i promieniowaniu w kosmosie. Ale źle, że się nam to jakoś tak... odbija... czasami.

Musimy znać prawidła gry... Obrać? czy przekrajać i pocukrzyć?

Trzeba się umieć obchodzić z grepfrutem, albo raczej wziąć z talerza kalebasę — bo inaczej czekają nas pewne przykrości na liczniejszem zebraniu towarzyskiem. *Bruno Winawer*

„ŚWIĘTOSZEK“ MOLJERA W TEATRZE NARODOWYM



Zaloty „Świętoszka“ (Solski i Gella)



Walka z zaślepieniem rodzica (Cieszkowska, Łapiński, Żeliska)

Fot. J. Malarski

Najbliższe trzy premjery w b. teatrach miejskich

„Nigdy nie niewiadomo“. — „Towariszcz“. — „Czwarty do bridża“.

Mimo powodzenia, jakiem w dalszym ciągu cieszą się „Zemsta“, „Don Juan“ i „Świętoszek“ w Teatrze Narodowym, „Nie igra się z miłością“ na scenie Teatru Nowego, a zwłaszcza „Pieniądz nie jest wszystkiem“, fenomenalny sukces Teatru Letniego — wszystkie trzy te sceny intensywnie przygotowują się do premjer.

W Teatrze Narodowym ukaże się na Sylwestra najweselsza z komedyj genjalnego kpiarza Bernarda Shawa z okresu, gdy nie uprawiał jeszcze djalektyki politycznej, lecz — najzabawniejsze igraszki humoru i ironji w świetnym kształcie scenicznym — „Nigdy nie niewiadomo“. O sztuce tej napisał kiedyś Boy: „To jedna z najpogodniejszych sztuk Shawa. Wielki satyryk zapomniał tym razem o ostrzu ironji, aby myśl swoją przybrać w kaprys karnawałowego żartu“. W komedji Shawa — pod reżyserją Węgierki — grać będą: Lubieńska, Jarkowska, Maszyński, Wesołowski, Roland, Zyg. Chmielewski, Ciecierski i Karczewski.

W Teatrze Letnim odbywają się końcowe próby pod kierunkiem E. Chaberskiego z „Towariszcza“ Devala, najgłośniejszego współczesnego autora francuskiego, twórcy „Mademoiselle“ i „Stefka“, którego krytycy mianują następcą Flersa i Caillaveta. „Towariszcz“ od 3 miesięcy cieszy się fenomenalnym sukcesem w Paryżu, a od kilku tygodni — w Wiedniu, w teatrze Reinhardta. Mimo dramatycznego tła (życie emigracji rosyjskiej) Deval, mając głębokie zrozumienie dla spraw tragicznych, skąpał tę uśmiechniętą komedję w ożywczej wesołości. Trzy naczelne postaci: Wielkiej księżny, księcia i „Towarzysza“ grać będą u nas: Ćwiklińska, Leszczyński i Buszyński. W innych rolach wystąpią: Dulęba, Kurnakowicz, Różańska, Nakoneczna, Macherska, Łaska, Kawińska, Kajzerówna, Strzelecki, Michalak, Karczewski i Janusz.

Wreszcie najbliższą premjerą Teatru Nowego będzie nowa komedja znakomitego pisarza i krytyka, Adama Grzymały-Siedleckiego „Czwarty do brydża“, pisana specjalnie dla tej sceny.

Będzie to komedja, posiadająca wybitne momenty dramatyczne. Zajmie ona odrębne miejsce w twórczości Siedleckiego, który w poprzednich sztukach poruszał wprawdzie tę samą sferę zagadnień, lecz traktowaną od strony zabawy. W całej konstrukcji sztuki uderza to, że z punktu wyjścia wydarzeń czysto rodzajowych dąży ona ku zagadnieniom etycznym. Główną postacią jest Donżuan na emeryturze.

Reżyseruje Borowski, grają: Różycki, Jezierska, Tarnowiczówna, Znicz i Ziembiński.

Premjera Shaw'a w Teatrze Polskim

Oddawna zapowiadana, oczekiwana z wielkiem zaciekawieniem najnowsza sztuka Bernarda Shaw'a, ukazała się w Teatrze Polskim — ustaloną już dla tego teatru tradycją — jako prapremjera na kontynencie.

„Nad przepaścią" jest udramatyzowaną, aktualną dyskusją polityczną, którą genjalnemu poecie-kpiarzowi podobało się nazwać — fantazją polityczną!

Ta „fantazja" została z całym należnym pietyzmem obleczona przez inscenizatora Leona Schillera w zdecydowanie realistyczne kształty doskonałego widowiska teatralnego, gdzie świetny talent aktorski „speca" od Shaw'a, Kazimierza Junoszy-Stępowskiego mógł okazać się w całej pełni.

W maleńkim epizodzie błysnęła swojem mistrzostwem Marja Przybyłko-Potocka.

Publiczność nadążała naogół trafnie za wartkim tokiem niespodziankowego dowcipu Shawowskiego, w lapidarniejszych zwrotach akcentując radość zrozumienia doraźnemi oklaskami.

„Zalotnicy niebiescy" w Teatrze Małym

Niewątpliwą zaletą nowej sztuki utalentowanej poetki Marji Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej jest — zupełna nowość środowiska. Wojsko naogół rzadko ukazuje się w dziełach naszych autorów; przedstawiciele armji powietrznej pokazani zostali bezwzględnie po raz pierwszy.

W bardzo pomysłowej, jak na warunki Teatru Małego, inscenizacji i reżyserji Janusza Warneckiego, sprawnie rozegrały się pierwsze dramatyczne *za-loty* (tytuł nie wszystkim przypadł do smaku) naszych lotników. Z talentem dokonali ich: Wojciech Brydziński, Warnecki, Daczyński; z talentem przyjmowała je Marja Gorczyńska. W drugiej roli kobiecej interesujący pazurek aktorski pokazała — już nie po raz pierwszy — Nina Świerczewska.

Publiczność, zwłaszcza premjerowa, reagowała nader żywo. Rewelacją bezwzględną były nowe mundury (nie niebieskie) lotnicze, takie, jakie armja powietrzna przywdziać ma w roku przyszłym.

al.

„Brzydki Ferrante" w Teatrze Kameralnym

Dobrze się stało, że Adwentowicz przypomniał jedną z najświetniejszych swych ról: Brzydkiego Ferrante w sztuce Sabadina Lopeza.

Rola ta jest znamienna dzięki temu, że Adwentowicz zrywa w niej z ulubionym i genjalnie odtwarzanym przez siebie typem cierpiętników Ibsenowsko-Strindbergowskich, neurasteników i histeryków — i tworzy wspaniały kontrast: typu południowca, pełnego humoru, werwy, zmysłowości i pogody. Jako Brzydki Ferrante, który swą brzydotą umie z nieporównanym dowcipem i sprytem pokonać pięknego rywala i sprzątnąć mu z przed nosa dwie piękne kobiety, — Adwentowicz tworzy kreację absolutnie doskonałą, bujną, pełną, soczystą, mistrzowską, którą zawsze raz jeszcze obejrzeć warto.

Doskonałą partnerkę, piękną Armidę znalazł Adwentowicz w p. Grywińskiej.

(Sz. S-ki.).

Ś. p. Romana Popiel-Święcka

Zmarła w Warszawie w dniu 13 grudnia r. b. ś. p. Romana Popiel-Święcka, 84-letnia staruszka, niegdyś wielka aktorka, należąca do plejady największych gwiazd sceny warszawskiej w latach: 1870 — 81.



Popielka u szczytu powodzenia

Od r. 1881 usunęła się w zacisze domowe i trwała w niem — 52 lata.

Była ona wówczas najświetniejszą — po Bakałowiczowej — przedstawicielką ról naiwnych bohaterek. O stosunku do niej świadczy pieszczotliwa nazwa „Popielki", którą jej Warszawa nadała. Stolica szalała za nią w ciągu lat 10, była jej ulubienicą i bożyszczem.

Popielka cyzelowała swe role, lubowała się w finezyjnych subtelnościach.

Jak stwierdza najgłębszy ówczesny krytyk i analityk gry aktorskiej, Władysław Bogusławski: „Rozważając grę panny Popiel w związku z ogólną u nas historją sztuki dramatycznej, ogarniając jednym rzutem oka to, co panna Popiel stworzyła w zakresie uprawianego rodzaju, napotyka się na każdym kroku sui generis arcydzieła", („Siły i środki naszej sceny", 1879).

Widzowie owcześni z przed półwieku ulegali urokowi niezwykłej poetyczności i dziewiczego czaru w grze Popielki, grze doprowadzonej do kunsztu absolutnej doskonałości. Nietylko w „Panu Damazym" (córka) lub „Ślubach panieńskich" (Klara), a więc w dwuch arcydziełach komedji polskiej, — tworzyła arcydzieła, lecz i w olbrzymiej ilości tych dzieł przejściowych ówczesnego repertuaru, o których się zapomniało, a jednak sława i legenda ról Popielki w tych sztukach żyła przez pół wieku. W grze jej był realizm i dowcip, pogłębienie i humor, finezja wyrazu i absolutna prostota.

Współczesny historyk teatru, Józef Kotarbiński, tak Popielkę scharakteryzował: „O figurze niewielkiej, ale wdzięcznej, twarzy rozkosznej, wiosennie uśmiechniętej, oczach ciemnych, błyszczących jak ciarki, w ruchach zwinnie estetyczna i naturalna, miała głos niewielki, ale giętki, ciepły, srebrzysty, wygimnastykowany. Talent tej niezrównanej w swym zakresie artystki opierał się na wielkiej szczerości, przepojonej młodzieńczym urokiem, poezją fjołków i stokroci. Popielówna docierała swodobnie do akcentów porywająco prawdziwych".

Popielówna zabłysnęła jak najwspanialszy meteor na horyzoncie polskiej sceny, świeciła oślepiająco w ciągu lat 10, zaś przez ostatnie pół wieku była już tylko dalekiem wspomnieniem, legendą, cieniem.

E. Świerczewski

Ś. p. Inż. Kazimierz Gayczak

Świat elektrotechniczny okryła ciężka żałoba. W dniu 4 grudnia 1933 r. rozstał się z tym światem jeden z najwybitniejszych fachowców w dziedzinie elektrotechniki, pionier elektryfikacji, zasłużony obywatel — ś. p. Inż. Kazimierz Gayczak.

Ś. p. Kazimierz Gayczak, urodził się w Bielsku w roku 1872. Szkoły średnie ukończył w Bielsku, a studja wyższe na politechnice w Darmsztadzie.

Działalność Zmarłego specjalnie wyróżnia się przy projektowaniu i budowie całego szeregu elektrowni. Pod kierownictwem ś. p. Kazimierza Gayczaka, dokonana została budowa elektrowni miejskiej w Dreźnie, w Petersburgu, Sierszy-Wodnej oraz Elektrownia Okręgowa w Zagłębiu Dąbrowskiem w Sosnowcu. W ostatnich latach ś. p. Kazimierz Gayczak był członkiem Zarządu i dyrektorem technicznym S. A. „Siła i Światło". Wybitne zasługi na polu pracy w dziedzinie elektrotechniki postawiły ś. p. Kazimierza Gayczaka w rzędzie twórców elektrotechniki stosowanej i siewców idei elektryfikacji Polski.



Ś. p. Inżynier Kazimierz Gayczak

Słucham Radja

Tym razem omówimy ryczałtem ostatnie dwa tygodnie audycji.

Pomysł nowego cyklu p. t. „Teatr wyobraźni" — zapoczątkowany trylogją platońską, udał się doskonale. Jest to bezspornie zasługa genjalnego Jaracza, który stworzył kreację rzadko piękną, głęboko przemyślaną i ogromnie sugestywną. W skarbnicę dorobku artystycznego polskiego radja wpadł tym razem klejnot tak wysokiej wartości, że należałoby pomyśleć o utrwaleniu go na płytach gramofonowych.

O ile „Teatr wyobraźni" zdoła utrzymać się na poziomie tych trzech pierwszych słuchowisk, zyska napewno ogromne powodzenie i pewność, że spełnia doniosłą misję kulturalną w społeczeństwie. Gdyby ci nasi liczni adepci sztuki ględzenia do mikrofonu (mikrofomani?) potrafili wyciągnąć wnioski z lekcji, udzielonej im przez mistrza Jaracza, wstyd zamurowałby im usta, a ilość źle wypowiedzianych odczytów spadłaby — ku radości słuchaczy — do zera.

Taki właśnie odczyt, jak się robi gazetę, wygłosił p. red. Krukowski w szalonem tempie, zwalniając od czasu do czasu galop słów w raźnego kłusa.

Należałoby też prosić p. speackera przeglądu produktów rolnych, żeby nie mówił „ósmiu", „tyż" i t. d. Odczyty dla niższych intelektualnie sfer powinno się wygłaszać czystą polszczyzną, gdyż właśnie ci ludzie uważają mikrofon za swój uniwersytet i łatwo zarażają się błędami, albo raczej utrwalają się w nich.

Feljeton p. Strzeleckiej p. t. „Mamo, idę na zbiórkę" był ciekawy i dobrze wypowiedziany. Prelegentka ta doskonale nadaje się do radja.

Piosenki lekkie w wykonaniu sympatycznej pieśniarki p. Oli Obarskiej i p Wawrzkowicza wypadły wdzięcznie i miło. P. Wawrzkowicz nieco nadużywa głosu, zwłaszcza w duetach; być może nie zgrał się jeszcze dostatecznie z mikrofonem. Popisy p. Olędzkiego okropne. Dla sprawiedliwości podkreślam, że dotyczy to jedynie głosu, interpretacji, tekstów i melodji — reszta znośna!

Kanarki widocznie stremowały się przed mikrofonem i nie chciały śpiewać, gęgając jak młode kaczątka. Niefortunny występ zatuszował zręcznie p. Strzetelski opowiadaniem o pochodzeniu i zwyczajach tych miłych ptaków.

Talent p. Hanki Ordonówny zabłysnął w paru nowych piosenkach i melorecytacji, wykonanych bardzo dobrze, z dużem wyczuciem właściwości mikrofonu.

„Panna z posagiem" Micińskiego, bez tempa i nudna, mimo świetnego wykonania artystów pp. Brochwiczówny, Dehnelówny, Różyckiego, Justjana i Frenkla jun.

Popularny odczyt prezesa dr. Romana Góreckiego o finansowaniu budownictwa mieszkaniowego w Polsce, interesujący i dobrze wypowiedziany.

Ostatniej niedzieli transmitowano z cyrku warszawskiego przebieg meczu pięściarskiego Budapeszt — Warszawa. Zwolennicy brutalnych emocji mogli radować się niesamowitem wyciem tłumów, trwającem bez przerwy kilkanaście minut. Nas w czarną rozpacz wpędzał speacker o płaczliwym tembrze głosu i kluskach w ustach, który, jak zapowiedziano, udzielić miał „fachowszych wyjaśnień".

30-ta wesoła fala lwowska, mimo, że nie potrafiła wykorzystać dobrych pomysłów, okazała się znacznie lepszą od ostatniej.

Z ciekawszych audycji polecamy:

24.XII. Nowela Jerzego Kossowskiego p. t. „Wawrzeło Jan". Pieśni St. Niewiadomskiego w wykonaniu p. Anieli Szlemińskiej. Transmisja pasterki z Wilna.

1-szy dzień Bożego Narodzenia. Koncert orkiestry Tadeusza Seredyńskiego. Audycja „Pokój ludziom dobrej woli. Recital fortep. Z. Rabcewiczowej.

26.XII. Kwadrans literacki. Pieśni w wykonaniu M. Janowskiego. Operetka Abrahama „Bal w hotelu Savoy'u", słowo wstępne wypowie W. Grubiński.

27.XII. Recital śpiewaczy p. Marji Kaupe. Koncert kameralny z Poznania. Feljeton literacki p. K. Irzykowskiego „Dramaty Książkowe". Recital śpiewaczy p. Ewy Bandrowskiej-Turskiej.

28.XII. Godzina muzyki lekkiej w wykonaniu ork. jazzowej Teatru Cyganerja z udz. Mary Didur-Załuskiej. Słuchowisko „Dzwony" Dickensa. Koncert z udz. R. Petera.

29.XII. Recital fort. Very Bezobrazowej. Odczyt „Solon" dr. Aleksandra Turyn. Koncert symf. z Filharmonji warszawskiej.

30.XII. Koncert solistów. Odczyt Dr. Artura Schrödera p. t. „Józef Mehoffer — 40-lecie jego pracy artystycznej". Koncert chóru Dana. Kwadrans poetycki. Piosenki J. Brochwiczówny. Koncert poświęcony utworom J. Zarzyckiego w wykonaniu Józefa Turczyńskiego. Kukułka wileńska.

Jelaud

GWIAZDKOWA REWJA MODY

W CAFE ADRIA



Rewja w Café Adria... — To zdanie przyciąga jak magnes i gromadzi tłumy. Sala oświetlona à giorno. Pełen młodzieńczych sił dyrektor Moszkowicz — czuwa by rzesze dystyngowanej publiczności skierowywać na właściwe miejsca.

Batuta rewji spoczywała w ślicznych rączkach p. Balcerkiewiczówny, która z wdziękiem prowadziła konferansjerkę, zapowiadając szereg rewelacji z dziedziny mody damskiej i męskiej.

Efektowne uczesania konferansjerki, oraz wszystkich pań biorących udział w rewji — zostały wykonane przez znany w stolicy zakład fryzjerski „Predrag" (pl. Napoleona 6) specjalnie na rewję Mody celem podkreślenia, iż piękne uczesanie jest niezbędnym warunkiem eleganckiego wyglądu nowoczesnej pani.

Czarujące drobiazgi, które panie obecnie tak chętnie noszą, a więc brosze, klipsy, klamry, pochodziły z firmy W. Maciejewski i S-ka (Marszałkowska 85) stanowiąc znakomite dopełnienie każdej toalety. Zwłaszcza ozdabiająca przemiłą p. Marysię Nowicką kolja i bransoleta z zielonych kamieni, wzbudzała ogólny zachwyt swą estetyczną prostotą.

Specjalną uwagę zgromadzonych pań przykuwały pantofelki p. M. Balcerkiewiczówny — zawsze umiejętnie dobrane do toalety, stanowiące istne arcydzieło kunsztu szewskiego. Łatwo się było domyśleć, że pochodziły z salonu wytwornego obuwia L. Leszczyńskiego (Nowy Świat 34).

Smukłą sylwetkę pięknej pani Marji zdobi czarująca jasna suknia ze znanego magazynu mód „Ewelina" (Chmielna 24). Podkreślić należy, iż rewja była pasmem nieprzerwanych tryumfów tego słynnego domu mód, gdyż modele firmy „Ewelina" potrafiły wypełnić bogaty program rewji.





Przy strojnych balowych toaletach, noszonych z wdziękiem przez artystkę teatru Narodowego, p. Kajzerównę, najpiękniej prezentowały się lekkie pantofelki, złote i srebrne, lub dobrane do koloru sukni, z delikatnych skórek, albo z crèpe de chine'u, czy crèpe marocain, fantazyjnie powycinane pochodzące z magazynu eleganckiego obuwia K. Filipczaka (Chmielna 17).

Miękko otulające sylwetki pań, przepiękne futra, olśniewające wytwornością linji, pochodziły z firmy Maksymiljan Apfelbaum (Marszałkowska 125).

Specjalne zdjęcie dla „Świata" wykonał fot. Jan Malarski

Zkolei wymienić należy naszą wschodzącą gwiazdę filmową, panią Almę Carr, która zaprezentowała długie czarne rękawiczki duńskie, naszywane aż... 750-ma brylantami z wytwórni rękawiczek F. Czarneckiego (Marszałkowska 84 i Świętokrzyska 10), z pracowni którego pochodziły również i inne rękawiczki — balowe i sportowe, we wszystkich kolorach z najmodniejszych skór.

Modele sukien prezentowane na rewji wykonane były przeważnie z tkanin firmy I. Cwejko S. A. (Bielańska 23).



Zgrabniutkie girlsy z Morskiego Oka ubrane zostały w dobrze grzejące swetry przez firmę Ka-Ri-Bi (Nalewki 2). Wszystkie pullowery, grube rękawice i pończochy narciarskie, — te niezbędne dla nowoczesnej pani uzupełnienia kompletu sportowego — były wykonane z najlepszej krajowej wełny marki Ka-Ri-Bi. Wełna ta odznacza się niespotykaną u innych zaletą, że kolory jej nie płowieją i nie puszczają w wodzie, a ścieg wychodzi czysto, co podnosi efekt zewntęrzny.

Przyznać należy, iż cała rewja przedstawiała się barwnie i zajmująco, tembardziej że była urozmaicona występami

Olgi Sławskiej, laureatki Międzynarodowego konkursu tanecznego oraz włoskiej tancerki z wiedeńskiego „Moulin Rouge" — Sylwji de Bettini, którą widzimy na zdjęciu z Dyr. Moszkowiczem.



Uroczej pani Balcerkiewiczównie sekundował dzielnie w prowadzeniu konferansjerki — p. Zdzitowiecki, reżyser i artysta teatru „8.30" ubrany w wytworny frak, zdumiewający nieskazitelną linją. Frak ten pochodził z pracowni znanego zakładu krawieckiego P. Borkowski i Syn (Żórawia 17).

W drugiej części rewji p. Zdzitowiecki ukazał się w szykownym dressing-gown z brązowego jedwabiu, podbitego flanelą, a przybranego jedwabiem z tego samego koloru w białe grochy. Szlafrok ten. oraz wszelkie inne artykuły konfekcji męskiej pochodziły z nowootworzonego magazynu — A. Frendler - Chemisier, (Marszałkowska 101), który jest najlepszym doradcą warszawskich elegantów.

Ciekawem urozmaiceniem rewji była melodyjna piosenka o pudrze „Velour-Paris", odśpiewana wdzięcznie przez jasnowłosą Olę Obarską, artystkę teatru „8.30". Na zdjęciu widzimy p. Olę Obarską, która zwierza się p. Zdzitowieckiemu, iż poznawszy zagranicą zalety pudru „Velour-Paris" używa go stale i poleca wszystkim paniom, pragnącym mieć podobnie piękną cerę. Puder „Velour-Paris" obecnie jest również do nabycia i w Polsce.





ŚWIAT KSIĄŻKI

Dwa wydawnictwa albumowe

LEGJONY — LOTNICY

Nie jesteśmy w Polsce przyzwyczajeni do wydawnictw zbytkownych. Zwłaszcza w ostatnich czasach nasza produkcja księgarska zeskromniała, poszarzała. Tem większe wrażenie robi wydane w tych dniach przez Główną Księgarnię Wojskową „Album Legjonów Polskich". Dzieło to istotnie wspaniałe. Jeszcześmy takiego nie mieli. Wszystko doskonale dobrane i pieczołowicie wykończone: oprawa, papier, czcionki, ryciny, układ artystyczny — imponują. Całość utrzymana w stylu nawskroś modernistycznym, śmiałym, ale niekrzyczącym. Każda strona komponowana osobno, oryginalnie, tak, że w grubym tomie niema dwóch kart do siebie podobnych. Zasługa to pp. A. Girsa i B. Barcza, którzy kierowali stroną graficzną wydawnictwa. Widać, że nie potrzebowali liczyć się ani z miejscem, ani z kosztami. Podobno przy opracowywaniu dzieła zajętych było 85 ludzi, zużyto dwa i pół wagonu papieru kredowego, półtora kilometra płótna na artystyczną oprawę, 1500 kg. farby drukarskiej; zgrupowano i rozpatrzono 15 tys. fotografji ze zbiorów prywatnych i publicznych, użytkując z nich zaledwie cząstkę—740 najbardziej wartościowych pod względem historycznym i graficznym; nadto zamieszczono 8 szkiców rysunkowych Swirysz-Riszkiewicza i 6 akwarel tegoż malarza oraz Nałęcz-Korzeniowskiego. Nad doborem materjału fotograficznego specjalnie czuwał mjr. dypl. E. Quirini.

Jeśli rozpisaliśmy się o zewnętrznej szacie albumu, to dlatego, że artyzmem swoim, przepychem i nowoczesnością rzuca się przedewszystkiem w oczy, olśniewa i zachwyca. Nie znaczy to jednak, aby twórcy albumu pozostawili tekst na drugim planie. Przeciwnie, powierzono go wybitnemu badaczowi historji wojskowości, znanemu już z innych cennych prac mjr. dr. Wacławowi Lipińskiemu. Na tle ogólnych wydarzeń dziejowych barwnie, zwięźle, zajmująco i — o ile to możliwe—objektywnie przedstawił on genezę, rozwój i życie Legjonow, doprowadzając tok opowiadania do aktu 5 listopada 1916 roku. Może to przerwanie historji Legjonów w chwili opuszczania przez nie frontu, niedoprowadzenie jej do właściwego końca, t. j. do rozwinięcia się ich w armję państwa niepodległego, wynikło z chęci uniknięcia opisu skomplikowanych losów różnych rozdrobnionych oddziałów po Szczypiornie i Rarańczy; trzeba jednak wyznać, że przedwczesne zakończenie razi szczególnie w zestawieniu z głębokiem sięgnięciem do źródeł idei legjonowej, z poszukiwaniem jej w pierwszych latach istnienia P. P. S.

Inna uwaga krytyczna nasuwa się z powodu niedostatecznego sharmonizowania ilustracji z tekstem: opowieść biegnie swoją drogą chronologiczną, gdy o zamieszczeniu fotografji zdają się decydować względy graficzne. Na usprawiedliwienie trzeba jednak przypomnieć, że to „Album", a nie historja ilustrowana.

. . . .

Nieco wcześniej ukazało się inne piękne wydawnictwo o charakterze albumowym: Księga Pamiątkowa ku czci Poległych Lotników". Równie starannie i bogato wydana, różni się ona od „Albumu Legjonów" techniką wykonania i stylem artystycznym. Mamy tu dzieło pod względem graficznym dalekie od modernizmu, posiadające układ spokojny, logiczny, prosty, słowem, klasyczny.

Opracowany przez dypl. majora-pilota Marjana Romeyko „zarys dziejów lotnictwa polskiego" jest pierwszą gruntowną i wyczerpującą pracą w tej dziedzinie. Można w niej znaleźć nietylko pokrzepienie duchowe, ale też wiele nowych i ciekawych wiadomości. Major Romeyko łączy w swym wykładzie sumienność profesorską z dokładnością technika i zapałem oficera, Liczne fotografje są świetnie dobrane i rzeczywiście ilustrują omawiane zagadnienia.

Druga część Księgi zawiera życiorysy Poległych Lotników. To jakby uzupełnienie pomnika, wzniesionego na placu Unji Lubelskiej. Widzimy setki fotografji młodych ludzi z ich krótkiemi biografjami, z których każda kończy się sakramentalnemi słowy: „zginął śmiercią lotnika" — i żałobną datą. Obejmują one lata od 1918 do 1933 r. i przeszło 400 nazwisk bohaterów przestworzy, z których kilka zaledwie żyje w pamięci rodaków, inne nieznane są i zostałyby zapomniane, gdyby nie zebrała ich z pietyzmem praca kpt.-obs. Borowego.

Dzięki temu Księga Pamiątkowa Lotników staje się nietylko propagatorką wielkiego dzieła podboju powietrza, ale i uczczeniem pamięci męczenników, którzy sprawie tej życie oddali.

. . . .

Obydwa omawiane wydawnictwa albumowe, o tak różnej treści i celach, mają wspólne cechy: są produktem myśli i talentu oficerów, choć bynajmniej nie tylko dla sfer wojskowych zostały przeznaczone. Dobrze to świadczy o poziomie naszej armji, jeśli w jej szeregach znajdują się inicjatorzy i wykonawcy tak wysoko pod względem naukowym, literackim i artystycznym stojących wydawnictw.

W. G.



Jedna ze stron „Albumu Legjonów", przedstawiająca wigilję legjonistów w 1914 r.

NOWOŚCI LITERACKIE

WYDAWNICTWA GWIAZDKOWE DLA MŁODZIEŻY I DZIECI

Młodzież nasza otrzymała na gwiazdkę w roku obecnym kilka niezwykłych powieści. Na pierwszem miejscu trzeba postawić przygody w Tatrach pt. „Koleba na Hliniku" pióra Heleny i Jerzego Rytardów. Książka ta budzi zamiłowania sportowo-taternickie. Jest hymnem ku czci

gór. Napewno podoba się bardzo naszej młodzieży, lubującej się w wyczynach sportowych.

P. Janina Rościszewska prowadzi nas na przeciwległy szlak Rzeczypospolitej. Jej powieść pt. „Panienoczka" daje nam wizję kresów wschodnich. Pokazuje piękno przyrody i otwiera oczy na splot krwawych przeżyć wojennych. Dwory polskie, strażnice wiekowej pracy kulturalnej na tych ziemiach, puszczono z dymem; stratowano dorobek wielu pokoleń. Powieść ta nastręczyć może dużo płodnych rozmyślań na tematy żywo obchodzące nas i teraz.

Pożyteczną książeczką jest narracja gimnazjalna p. Wacławy Potemkowskiej pt. „Wielki spór w V klasie". Ministerstwo Oświaty poleca ją jako lekturę uzupełniającą. Powiastka ta jest osnuta na pewnym sporze, który wynikł z podpowiadania między uczniakami: Koryzną i Dębickim. Nie należy przypuszczać, iż książka ta uleczy nagminną szkolną chorobę: podpowiadanie! Jest to jednak wysiłek sympatyczny i godny uznania. Młodzież przeczyta ten „spór w V-ej klasie" z zainteresowaniem, gdyż autorka odtwarza prawdziwie życie gimnazjalne.

„Zdzich szuka ojca" Jima Pokera jest książką wielce zajmującą i pełną przygód. Autor, znany jest wśród dorosłych czytelników, jako interesujący malarz wielkiego rodzaju przygód morskich, powietrznych, wojennych. Jego „Zdzich szuka ojca" od Stołbców po lody wysp Sołowieckich. Jim Poker w opowieści tej daje wzruszający i smętny obraz niedoli pewnej rodziny polskiej, która pojechała szukać zajęcia i chleba do bolszewji.

Dla dziatwy „obrazkowe" poematy napisali Kornel Makuszyński (Trzecia księga przygód Koziołka-Matołka), Kazimiera Iłłakowiczówna (Wesołe wierszyki) oraz Stefan Themerson (Nasi ojcowie pracują).

Autorzy polscy młodzieży i dzieciom naszym zgotowali niebyle jaką gwiazdkę. Dosyć powiedzieć, iż poeci tej miary, co Makuszyński i Iłłakowiczówna nie zawahali się stanąć do apelu, by dziatwa nasza miała do dyspozycji książki naprawdę wartościowe.

„CUDOWNE WAKACJE JANKA SZEWCZYKA"

W literaturze dla dzieci zanika coraz więcej czar baśni. Zainteresowania młodych czytelników idą po linji bardziej realnej, a opowieści o siedmiomilowych butach, krasnoludkach i mówiących zwierzętach wywołują uśmiech politowania na ustach dziesięcioletnich sceptyków.

Ten ginący rodzaj literatury przypomniał Seweryn Romin w pięknej książce „Cudowne wakacje Janka Szewczyka". Autor, rozmiłowany najwidoczniej w fantastycznym świecie baśni, wprowadza czytelnika w krainę dziwów, snując cykl iście cudownych przygód, pełnych niebezpieczeństw i swoistego humoru. Zdrową tendencją książki jest budzenie w dziecku miłości dla zwierząt, które odpowiednio traktowane stają się najwierniejszym i najlepszym przyjacielem człowieka.

Powieść Romina zilustrował doskonałemi jedno i wielobarwnemi rysunkami utalentowany malarz E. Kanarek. Graficzna strona książki należy do piękniejszych pozycji wydawniczych Gebethnera i Wolffa.

w.

Podsłuchana rozmowa

— Zgodzi się pani jednak, że specjalnie wśród mężczyzn daje się zauważyć zanik wielu zwyczajów, uświęconych przez tradycję.

— Przez solidarność kobiecą nie chcę bronić mężczyzn, sądzę jednak, że niejednokrotnie kobiety dają do tego powód. Weźmy naprzykład ten podkreślany przez panią smutny objaw braku szacunku dla pań. Całowanie ręki kobiecej na powitanie lub pożegnanie zanika prawie zupełnie. Czyż nie należy jednak przypisać to temu, iż ręka nowoczesnej kobiety wśród jej zainteresowań, zajęć i sportów upodabnia się do ręki męskiej, staje się szorstka i niemiła w dotyku, a całkowicie niepodobna do opiewanej przez poetów, wydelikaconej rączki kobiecej, stworzonej do pieszczot i pocałunków.

— Przecież tak łatwo usunąć wszelkie niedomagania skóry rąk zapomocą wypróbowanego środka Glicerijell marki Antiba. Stale go używam.

— To też rączki pani, to prawdziwy poemat — powiedział milczący dotychczas pan Zygmunt. — Gdyby każda kobieta dbała tak o swe ręce jak pani, a w razie opierzchnięcia, pękania skóry lub zaczerwienienia rąk, wcierała nieco Glicerijellu-Antiba, mężczyźni napewno chętniej całowaliby gładkie i delikatne rączki.

F. D.

Gwiazdka naszego żołnierza

u „Dzieci Warszawy"



Tam, gdzie przed kilkunastu jeszcze laty więziono bojowników o wolność i niepodległość, a nocami dość często skrzypiała szubienica — w Cytadeli — zagospodarował się żołnierz polski, a przedewszystkiem popularne i kochane „Dzieci Warszawy": 21 pułk piechoty. Wesoło i gwarno tu od wczesnego ranka do zmierzchu, zwłaszcza przed świętami Bożego Narodzenia. Bo chociaż niemal połowa pułku korzysta z urlopów, ci, co pozostali, starają się najmilej i najweselej spędzić wieczór wigilijny.

Rekrutowi, obchodzącemu pierwszy raz w życiu święta zdala od domu, trochę z początku markotno. Jeszcze nie zżył się z rodziną żołnierską, jeszcze nie czuje się tu swobodnie. Ale gdy zobaczy zwożone do świetlic choinki, gdy zobaczy błyszczące cacka i różne smakołyki, humor mu się poprawia, ogarnia go świąteczne podniecenie i radość. Starsi koledzy opowiadają:

— Pogramy sobie, pośpiewamy. Wigilja będzie pierwsza klasa... Najesz się, bracie, po uszy... Będzie śledź, zupa i ryba z kapuchą, legumina i piwo... W domu byś takiej wigilji nie dostał...

„Dzieci Warszawy" tradycyjnie i uroczyście obchodzą wigilję. Każda kompanja urządza własną choinkę, a skoro zmierzch zapadnie, oficerowie z ukochanym dowódcą pułku, płk. Edwardem Dojan-Surówką, łamią się z szarą bracią opłatkiem.

Wesoło, gwarno, swobodnie. W pogodnej, przeplatanej anegdotą lub wspominkami rozmowie, równają się szarże, a po chwili setkami głosów rozbrzmiewa kolenda.

Po tradycyjnym opłatku oficerowie i podoficerowie spożywają wspólną wigilję w kasynie, w ulubionym kąciku, zwanym popularnie „meliną", ozdobioną rysunkami i karykaturami dowódców.

W 21 pułku panuje atmosfera rodzinna którą umiał wytworzyć płk. Dojan-Surówka. Kochają go też żołnierze. To nie surowy szef, lecz przyjaciel i opiekun każdego żołnierza, a mimo to zwierzchnik, którego poważają i słuchają ślepo. Z okazji gwiazdki szara brać stara się dać wyraz swoim uczuciom: choćby skromnym, lecz sercem dyktowanym adresem wigilijnym.

Jest zresztą wielu przyjaciół „Dzieci Warszawy", starających się w dolę żołnierską, w atmosferę koszar wnieść najwięcej światła i radości. Intensywną pracę kulturalno-oświatową prowadzi „Tow. Przyjaciół 21 pułk. piech." z przewodniczącą pułkownikową Dojan-Surówką, kierowniczką sekcji oświatowej majorową Jadwigą Kierkowską i kapitanową Drzewicką na czele. Ich zapobiegliwość i troska przyczynia się też do umilenia gwiazdki.

Szlachetną rywalizację uprawia również „Koło Opieki" i „Koło oficerów rezerwy"; niemałą atrakcją uczty wigilijnej są produkcje chóru pułkowego, pod kierunkiem kpt. Szwarca. Niepodobna też nie wspomnieć o działalności oficera oświatowego por. Pechala, któremu dzielnie pomaga energiczny sierżant Ciepliński, słuchacz Wyższej Szkoły Dziennikarskiej. Wesoło jest w wieczór wigilijny w 21 pułku.

Jasno płoną choinki, rozlegają się skoczne dźwięki muzyki, a przy długich stołach ucztuje wiara. Dowcipy sypią się jak z rękawa, od czasu do czasu zrywa się jakiś amator, podchwytuje nutę kolendy, naśladuje jazz-band lub filmowego gwiazdora, a frenetyczne oklaski i huragan śmiechu, są najlepszą nagrodą.

ax.



Wigilja u „Dzieci Warszawy". Wręczenie adresu dowódcy 21 p. p. — płk. Dojan-Surówce

Nowoczesne anioły

Zdaje się, że jeszcze w czasach jaskiniowych jakiś zwarjowany poeta przyrównał kobietę do anioła. Zasadniczo bowiem w tej ślicznej zresztą i skądinąd miłej istocie niema nic podniebnego. Przeciwnie, ten anioł w postaci pramatki Ewy, przyczynił się do nieszczęścia i wygnania

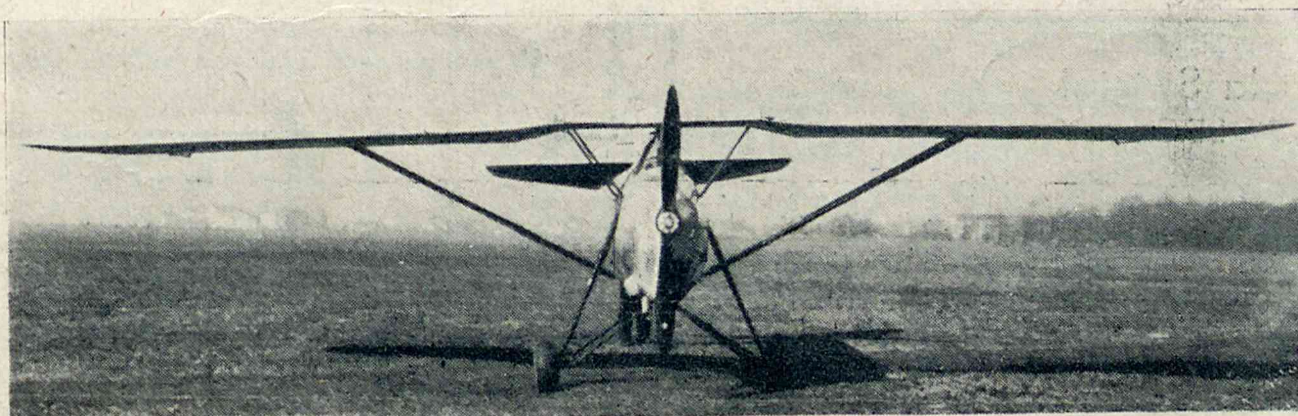


Znakomita pilotka amerykańska Viola Gentry w pełnym stroju lotniczym

z raju wszelakiego boskiego stworzenia. Lecz kilkadziesiąt wieków postępu i rozwoju cywilizacyjnego przekuły legendę na prawdę. Kobieta zaczęła latać. Wprawdzie nie na skrzydłach anielskich, lecz aluminjowych. Zainteresowanie się kobiety sportem lotniczym datuje się nie od dziś. Jeszcze na kilka lat przed wojną, zapaloną propagatorką lotnictwa była nieodżałowanej pamięci znakomita artystka Mary Mrozińska, dokonywująca pierwszych lotów wraz ze Scipio del Campo i słynnym asem francuskim Pégout. Ostatnio udział kobiet w lotnictwie zwiększył się ogromnie, mimo pewnej niechęci, okazywanej „nowoczesnym aniołom".

Aby niechęć tę do pewnego stopnia przełamać i umożliwić kobietom swobodne kształcenie się w lotnictwie „Komitet kobiecy budowy samolotów", pozostający pod protektoratem p. Marszałkowej Piłsudskiej, z drobnych składek, zebranych wśród kobiet w bieżącym roku, zakupił za cenę 30.000 zł. pierwszy samolot treningowy dla kobiety lotniczki R. W. D. 8. Aparat nabyto przedewszystkiem z myślą o udziale naszych lotniczek w Challenge'u 1934 r. Dotychczas bowiem kobiety polskie były upośledzone w porównaniu ze swemi zagranicznemi siostrami, mimo że u obcych zdołały zdobyć poważne pozycje, jak np. Zofja Mikulska we Włoszech.

Zdobycie własnego samolotu R. W. D. 8. przez kobiety polskie jest niejako przyznaniem praw obywatelstwa w podobocznem państwie. Jest zapoczątkowaniem flotylli kobiecej, gdyż komitet zamierza w tempie możliwie najszybszem zebrać dalsze 50.000 zł. i ufundować samolot challenge'owy, na którym lotniczka nasza wzięłaby udział w międzynarodowych zawodach.



Kobiecy samolot treningowy R. W. D. 8.

Przy sposobności zaznaczyć należy, iż szkolenie młodych lotniczek odbywa się intensywnie i z dobremi wynikami. W miejskim ośrodku szybowcowym wykształcono już 40 pilotek, a ostatnio dyplomy pilotek kategorji A otrzymały pp. inż. Hanna Jabłońska i Janina Sudejko.

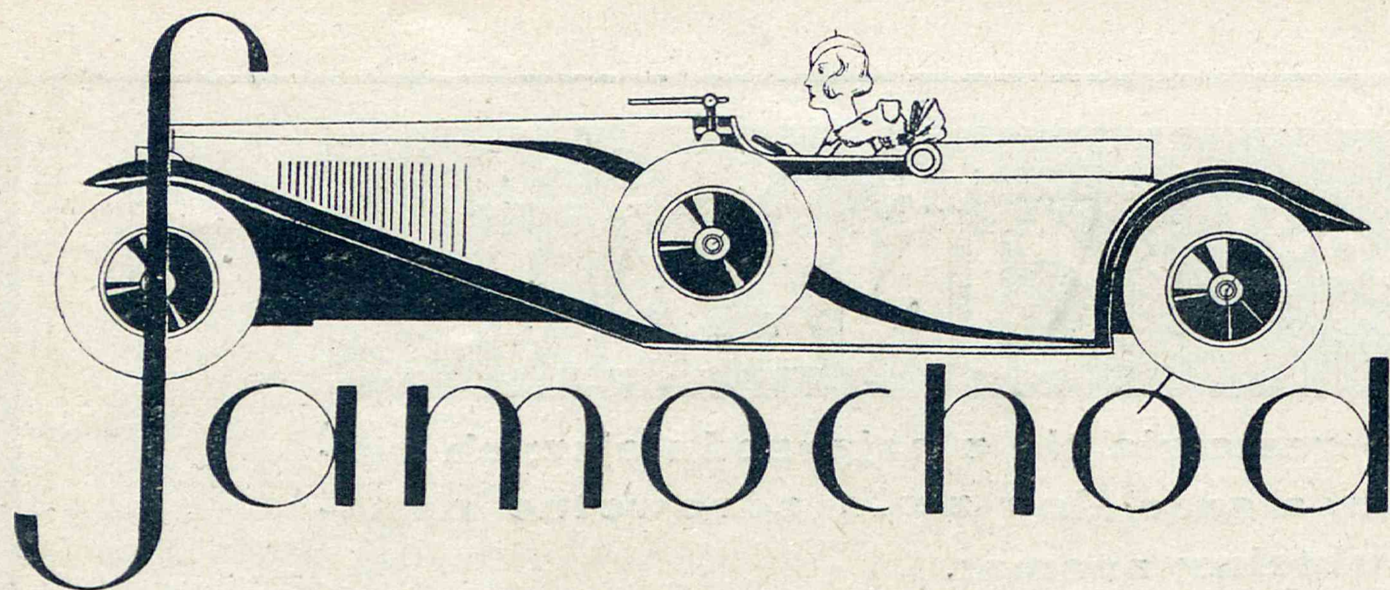
Samolot R. W. D. 8. to początek wielkiej akcji na rzecz lotnictwa wśród kobiet. Posiadanie własnego sprzętu lotniczego, jest najlepszym środkiem propagandy i uniezależnieniem lotniczek od klubów męskich, dość niechętnem okiem patrzących na „latających aniołów". Akcja ta zasługuje na najszersze poparcie, z tem zastrzeżeniem, że celem lotnictwa nie jest mord i zniszczenie, lecz najszlachetniejszy sport, oderwanie się od ziemi i szukanie nowych dróg na bezkresnych szlakach gwiezdnych.

Jack.

Powieści Chińskie

(s). Kiedy Sieroszewski pisał swoje powieści chińskie, był on jednym z niewielu europejczyków, którzy potrafili wniknąć w skomplikowaną psychikę żółtej rasy i uchylić nieco zasłonę, kryjącą tajemnicę życia i ducha tego świata. Poza jego utworami, poza świetną powieścią Ulara „Żółta fala", poza paroma jeszcze innemi dziełami, wszystkie inne były to fantastyczne historje z cienia żółtego smoka, nie mające nic wspólnego z rzeczywistością. Dopiero w latach powojennych zajęli się pisarze europejscy bardziej realniej życiem i psychiką Chin. Pojawiło się zwłaszcza sporo powieści na temat bratobójczych walk, toczących się na dalekim Wschodzie, a utwory te budziły duże zainteresowanie, głównie dzięki temu, że Chiny były i są wciąż jeszcze psychologiczną zagadką dla człowieka Zachodu.

Problemowi ducha chińskiego ostatnio poświęciła utalentowana poetka p. Pearl S. Buck dwie powieści: „Dobra Ziemia" i „Synowie". Pierwsza z nich, zbliżona charakterem do „Błogosławieństwa Ziemi" Hamsuna, kreśli dzieje biednego chłopa chińskiego, który nieznużoną pracą rąk własnych, zabiegliwością i sprytem zdobywa coraz nowe tereny, aby na tej „dobrej ziemi" ufundować pomyślną przyszłość swoją i swego narodu. Wang Lung zwyciężył w walce z losem, zyskał majątek i szacunek ludzki. A gdy nadszedł kres jego żywota, „Synowie" dziedziczą spuściznę. Najstarszy, przedstawiciel rodu, jest właścicielem ziemskim, średni kupcem, najmłodszy marzy o karjerze wojownika i rozpoczyna ją zdradą generała, pod którego rozkazami służył. W trzech środowiskach toczy się akcja powieści, co pozwala autorce dać dość wszechstronny obraz chińskiego życia. Szczególnie interesują epizody z życia wojskowego; są one jakby ilustracją niedawnych wypadków. Wang-Tygrys widzi tylko jeden cel: powodzenie własne. Dlatego dzisiaj będzie prowadził rozbójnicze hordy, jutro stanie się poplecznikiem rządu, pojutrze zdradzi go znowu dla własnej korzyści. Tak samo żołnierzy jego ożywia jedynie żądza łupu i użycia. I dopiero w najmłodszej generacji, w synu Wanga-Tygrysa, ujrzymy „nowe Chiny", w których rodzi się już miłość ojczyzny. Pokolenia starsze miały tylko miłość „dobrej ziemi".



Samochód

(Nowelka)

Był zapalonym automobilistą. Rozmowa więc bardzo szybko wkroczyła na jego ulubiony temat. Spytałem go o maszynę, którą jeździł w zeszłym roku po Juan-les-Pins: był to błękitny Packard o prześlicznej smukłej linji...

— Ach, ten! To cała historja. Już go nie mam... Ale opowiem panu wszystko od początku.

Kiedy byłem rok temu w Juan — jeszcze przed pana przyjazdem — pojawiła się na plaży jakaś bardzo efektowna i najwidoczniej bogata Amerykanka. Podobała się ogólnie i bardzo umiejętnie podsycała zainteresowanie, jakie się wytworzyło wokół jej osoby. Zawsze w cudownej toalecie — ukazywała się przy kierownicy niebieskiego Packarda, sama na niebiesko ubrana z szarym psem chińskim, duszącym się w obroży olbrzymiej, błękitnej kokardy — jako maskotą.

W ciągu kilku dni stała się najpopularniejszą pięknością wybrzeża; zbladła przy niej nawet ostatnia flama Charlie Chaplina. Przyznaję, że i mnie porwały jej ekscentryczne pomysły, jakiemi umiała urozmaicić monotonję modnych rozrywek... Nikt wreszcie nie przyrządzał takich coctail'ów... Bardzo szybko też zaciągnąłem się na listę jej przysięgłych wielbicieli. Bawiliśmy się cudownie, a wszystkim eskapadom i wycieczkom przewodziła nasza urocza znajoma na swym Packardzie.

Pewnego dnia nie przyszła na plażę i nikt jej nie widział na żadnym z traktów, prowadzących do Juan-les-Pins. Jej nieobecność popsuła plany na wieczór całemu towarzystwu, to też już koło 10-ej wróciłem do swego hotelu z pobożnym zamiarem udania się na spoczynek. I nagle zadźwięczał telefon. Clair czeka w hollu w ważnej sprawie.

— Niech pana nie dziwi moja napaść — zaczęła, z trudem panując nad widocznem zdenerwowaniem. — Ale, widzi pan, otrzymałam dziś depeszę, która... No, słowem, dostałam wiadomość, że od dzisiaj jestem t. zw. ubogą panną, bez grosza przy duszy, i że czemprędzej muszę likwidować obecny tryb życia. Ojciec mój stracił cały majątek. Właśnie oczekiwałam czeku z Ameryki, kiedy zamiast niego przyszła depesza o sądowem zajęciu konta. Nie mam nawet sumy potrzebnej na powrót...

— Proszę mi wierzyć, — przerwałem — że wczuwam się w sytuację pani i bardzo nad tem boleję, — lecz niema o czem mówić. Będzie to dla mnie prawdziwą przyjemnością, jeśli będę mógł służyć pani pomocą...

— Och, nie, nie! — zawołała, widząc, że sięgam do portfelu. — Pan jest naprawdę bardzo miły, ale ja nie mogę się zadłużać. Nie wiem, czy będę mogła wogóle zwrócić dług, a to byłoby zbyt przykre... Natomiast mam inną prośbę. Zostało mi jeszcze trochę klejnotów i mój poczciwy Packard. Wiem, że podobała się panu moja maszynka, więc gdyby pan zechciał ją nabyć...

Zaczęły się targi. Nie mogłem kupować rasowego wozu od pięknej kobiety, która znalazła się w dodatku w ciężkiej sytuacji — za śmieszną sumę 2.300 dol.! Przeprawę miałem ciężką, bo Amerykanka była ambitna i uparta. Wreszcie ustąpiła: sprzedała mi auto za kompromisową cenę 5.000 dol. i wyjechała. Pan zaś miał możność widzieć mnie w parę dni potem przy kierownicy nowonabytego wozu.

Niedługo jednak cieszyłem się niebieskim Packardem. Już podczas pierwszej przejażdżki zauważyłem jakiś defekt w motorze, a po kilku dniach mechanik mój po obejrzeniu motoru orzekł, że maszyna jest na nic i że nie może być mowy o remoncie. Odstawiłem więc Packarda do garażu i powróciłem do swego starego Cadillac'a.

Tego roku, na wiosnę — ciągnął dalej — wybierałem się na sezon do Nizzy i postanowiłem kupić sobie nowy wóz. Zdecydowałem się na „Green Star".

Przeprowadziłem tranzakcję — mój Cadillac powędrował do zakładów „Green Star", wzamian za co nabyłem piękny, nowy wóz za cokolwiek niższą cenę... Memu staremu samochodowi należał się już oddawna wypoczynek.

Sezon w Nizzy był w tym roku bardzo ożywiony. Gwiazdy filmowe w otoczeniu adoratorów, a przedewszystkiem — reporterów, paru dymisjonowanych książąt, trochę egzotyki... Jak to w Nizzy. Po paru dniach byłem wtajemniczony we wszystkie najnowsze skandale.

Było w miarę zabawnie i w miarę nudno, kiedy towarzystwo podnieciła nowa „gwiazda": pojawiła się jeszcze jedna piękność, zwracająca uwagę przedewszystkiem uroczym wyglądem, strojem i prześlicznym czerwonym Cadillac'iem, przy którego kierownicy ukazywała się zwykle w efektownym czerwonym kostjumie z szarym psem chińskim, jako maskotą...

Po paru dniach spotkałem ją na szosie, wiodącej do Monte Carlo. Moje podejrzenia okazały się zupełnie słuszne: te ciemno-złote włosy i te „reklamowo" piękne zęby były bezwątpienia własnością mojej zubożałej Amerykanki, poprawiającej w tej chwili jakiś defekt w ciemnoczerwonym samochodzie, w którym — nie, tego to się nie spodziewałem — poznałem swego staruszka — Cadillac'a. Był świeżo pomalowany i świecił nowym lakierem...

„Amerykanka" właśnie zamierzała wsunąć się pod samochód, by zbadać uszkodzenia, kiedy stanąłem przed nią z uprzejmym ukłonem. W pierwszej chwili speszyła się mocno, ale natychmiast odzyskała panowanie nad sobą i powitała mnie z całą swobodą. Oczywiście, odpowiedziałem w tym samym tonie i, nie poruszając ani słowem drażliwej przeszłości — zaofiarowałem się jej z pomocą.

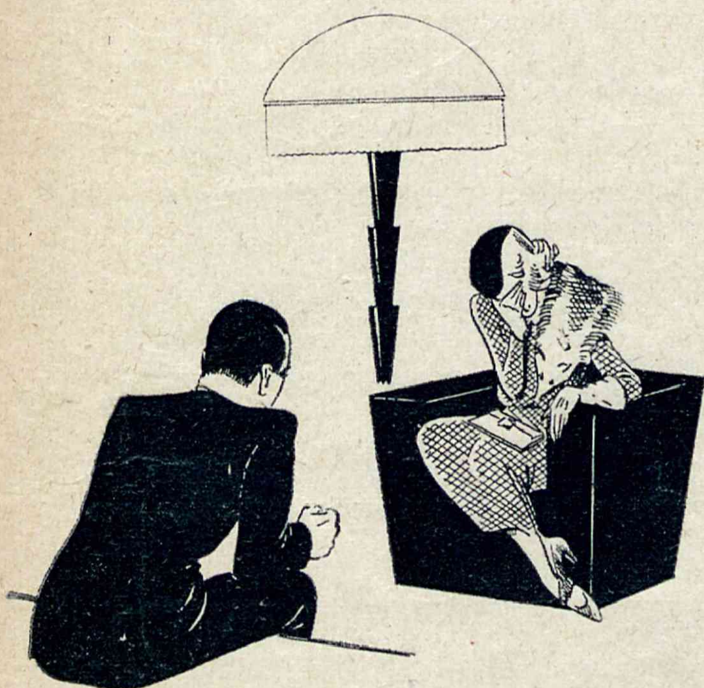
Nie była zachwycona. Jeszcze mniej ucieszyła ją konieczność jazdy ze mną do Nizzy po mechanika, gdyż Cadillac wymagał bezwzględnie ręki fachowca.

W drodze obserwowałem ją nieznacznie. Była ogromnie zdenerwowana: kiedy sądziła, że nie patrzę w jej stronę —

wielkie jej oczy napełniały się łzami. Do mnie zwracała jednak zawsze uśmiechniętą twarzyczkę.

Lecz droga ze mną nie była końcem jej martyrologji: w Nizzy postanowiłem nie wypuszczać ptaszka z rąk; ta cała historja zaintrygowała mnie nie na żarty, a moja męczennica była taka ładna, że...

Śniadanie, które jedliśmy razem w restauracji jej hotelu, czekając na powrót mechanika z Cadillac'iem, — upłynęło w przemiłym nastroju. To była bezwątpienia dzielna dziewczyna, ta mała. Zdawała się zupełnie zapominać o swem zmartwieniu i kokietowała mnie, jak podczas wakacyj w Juan. A jednak i jej nerwy nie wytrzymały, kiedy przybyły wreszcie mechanik oznajmił, że jej wóz wymaga kosztowniejszego remontu: zbladła, a jej energiczne zawsze usta zadrżały tak silnie, że w obawie wybuchu płaczu zaprowadziłem ją do małego saloniku, przylegającego do przepełnionego ludźmi hallu.



Zapomniałem w tej chwili o wszystkiem: o podejrzanej aferze, w jaką zdawała się być zamieszana, o tem, że sam padłem ofiarą jej podstępu... Widziałem przed sobą tylko śliczne, rozpłakane, bardzo nieszczęśliwe stworzenie...

Pocieszałem ją, jak małe dziecko, które utraciło zabawkę: samochód się odkupi, będzie nowy, ładniejszy... I tu nastąpił wybuch:

— Pan nic nie wie, pan nic nie rozumie! Ten samochód... jedyna podstawa mojej egzystencji.

Z chaotycznego opowiadania, przerywanego zwolna uspakajającem się łkaniem, dowiedziałem się, że papa-miljoner istniał tylko w sferze fantazji, że natomiast w rzeczywistości istniało małe skromne mieszkanko w Paryżu, i liczna rodzina do utrzymania, i posada agentki w firmie „Green Star". Że firma dla ułatwienia nabycia nowego „star" przyjmowała stare samochody swoich klijentów, odświeżała je powierzchownie, a potem starała się je dobrze sprzedać, a nikt tak nie umiał po mistrzowsku wmawiać tych ruin rozmaitym niewiedzącym co robić z pieniędzmi gentelmanom, jak właśnie ona, mała Claire Dumont.

— No, i co się wkońcu stało z tą młodą osóbką? — zapytałem, widząc, że towarzysz mój uważa opowiadanie za skończone.

— Z Claire?! Udało jej się przeprowadzić jeszcze jedną zyskowną tranzakcję — została moją żoną.

Kawuka.





ZAWROTNA KARJERA AMERYKANINA

Upton Sinclair, nieposkomiony satyryk obyczajów i stosunków socjalnych w Stanach Zjednoczonych, wywołuje sensację nawpół żartobliwą i złośliwą powieścią swoją p. t. „Zawrotna Karjera Amerykanina". Utwór ten może być brany prawie serjo. Takich Jed'ów Ruscher'ów społeczeństwo amerykańskie wydało bardzo wielu. Z nizin społecznych wysunęli się na czoło przemysłu, szybko zdobywając miljonowe fortuny i przemożny wpływ na kształtowanie się stosunków.

Jed Rusher, jako syn ubogiego wyrobnika, własnemi siłami przedziera się przez nędzę do oświaty. Umie korzystać z każdej okazji, nie cofa się przed podsłuchiwaniem i donosicielstwem, byle czemprędzej zdobyć pozycję życiową. Schlebia cudzej próżności, wyzyskuje dla swoich celów fałszywą sytuację panny Mary. Dopisuje mu też szczęście. Staje się wielkim przemysłowcem naftowym. Wywołuje na giełdzie burze i pioruny. W trzydziestym roku życia osiąga wszystko, co człowiek prywatny może zdobyć. Ma pałace, automobile, tysiące oddanych pracowników. Porzuca go żona, przez którą udało mu się ułatwić wiele posunięć przemysłowo-finansowych. I w tej sytuacji Jed Rucher stanie na wysokości zadania. Mając pieniądze, czyż nie znajdzie odpowiedniej żony? Przypomni sobie wreszcie o uniwersytecie, z którego wyszedł na podbój fortuny. Da staremu rektorowi 50 tysięcy dolarów na podtrzymanie tej wszechnicy. Nie ze swojej kieszeni. Pieniądz ten należy do kosztów reprezentacyjnych.

„Zawrota Karjera Amerykanina" czytelnikowi europejskiemu wydaje się zaczarowaną bajką lub sennym koszmarem. Tak łatwo bowiem, tak prosto, tak bez żadnych skrupułów moralnych wychowanek metodystów, konsekwentny karjerowicz denuncjuje swoich dobroczyńców, oszukuje biednych farmerów, by zostać miljonerem Jed Ruscher'em. Chwyty jego giełdowe zasługują na specjalną uwagę!

Upton Sinclair, mimo krytycznego nastawienia, ulega sam życiowemu urokowi swego bohatera. Jego Jed Rusher jest jednak ideałem amerykańskiego karjerowicza i groszoroba! Warto tę powieść przeczytać, choćby dla zrozumienia nieuchwytności zachwytu i satyry, jakie towarzyszą stale wyczynom finansowym i powodzeniom życ'owym tej „zawrotnej karjery amerykanina"!

E. Cz.







ROZRYWKI UMYSŁOWE

WIELKI KONKURS ŚWIĄTECZNY

W numerze bieżącym i następnym (52) zamieszczamy ośm zadań. Za trafne rozwiązanie wszystkich redakcja „Świata" przyzna drogą losowania 10 cennych nagród. W losowaniu zostaną uwzględnieni ci Czytelnicy, którzy od dnia 1 kwietnia aż do końca b. r. zdobyli przynajmniej po 50 punktów.

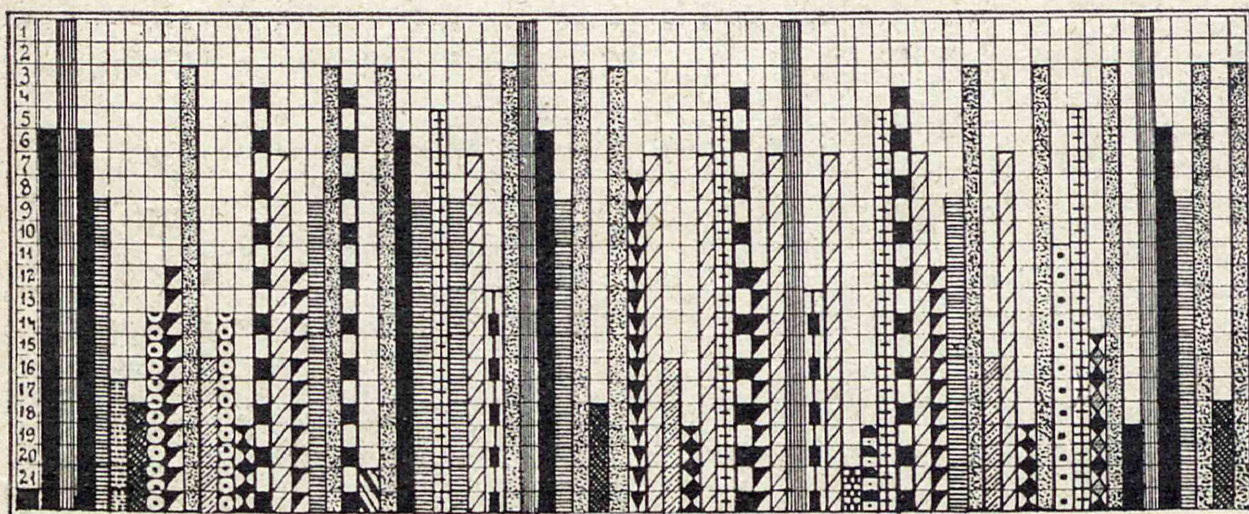
Spis nagród ogłoszony zostanie w połowie stycznia 1934 r.; rozwiązania nadsyłać należy do dnia 20.I. p. r.

Dla biorących udział w konkursie Czytelniczek naszych, zamieszkałych w Warszawie, jako nagroda przyznana będzie wieczna ondulacja w znanym ZAKŁADZIE FRYZJERSKIM p. f. „AS".

№ 181 (283) Wykresówka świąteczna

Ułożył N. K. Kozłowski

(Za rozwiązanie 20 punktów)



Cyfry i laski wykresówki oznaczają litery, z których składa się dwuwiersz o treści aktualnej. Litery, wchodzące w układ, są: A - B - C - D - E - Ę - I - J - K - L - N - O - P - R - S - Ś - T - W - Y - Z - Ż.

№ 182 (284) Łamigłówka

Ułożyła Danusia Karśnicka

(Za rozwiązanie 5 punktów)

1		□		□	
2		□		□	
3		□		□	
4		□		□	
5		□		□	
6		□		□	
7		□		□	
8		□		□	
9		□		□	
10		□		□	
11		□		□	
12		□		□	

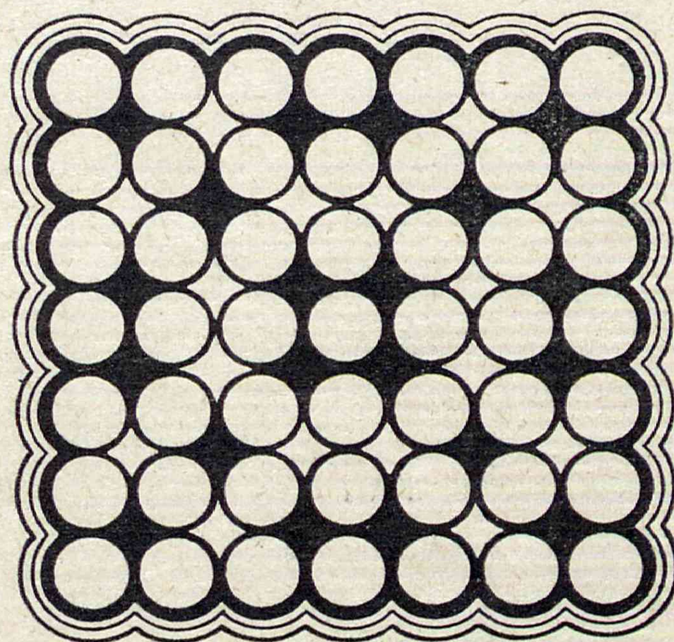
W daną figurę należy wpisać 12 pięcioliterowych wyrazów poziomych o podanem znaczeniu. Kolumny pionowe: druga i czwarta — dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Nocne czuwanie (wspak). 2. Fraszka, bagatela. 3. Inaczej „deszczu" (4 = z). 4. Minerał z rzędu krzemianów, czarny, blasku szklistego. 5. Ptak drapieżny z rodziny sokołów. 6. Jednostka wagi. 7. Wrzątek, war. 8. Miasto w Polsce (2 p. l. p.). 9. Schowaj, utaj. 10. Prowincja i tejże samej nazwy miasto w Boliwji. 11. Kopacz, grabarz. 12. Nogi zająca.

№ 183 (285) Kwadrat magiczny

Ułożył Zenon Brenek

(Za rozwiązanie 5 punktów)



W podaną figurę wpisać sześć wyrazów, czytanych jednakowo w kierunku pionowym i poziomym. Znaczenie wyrazów: 1. Miasto port. w prow. Madraskiej (Indje bryt.). 2. Stan w U. S. A. 3. Żelaziak brunatny. 4. Linja na mapie. 5 Znawca. 6. Statek rzymski o jednym rzędzie wioseł. 7. Ajer.

№ 184 (286) Metamorfoza

Ułożyła Klementyna H.

(Za rozwiązanie 5 punktów)

W zdaniu: WIDZĘ PIĄTĄ AKACJĘ CISZKI poprzestawiać litery w ten sposób, aby powstało znane przysłowie.

Redaktor *St. Krzywoszewski*. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa

P